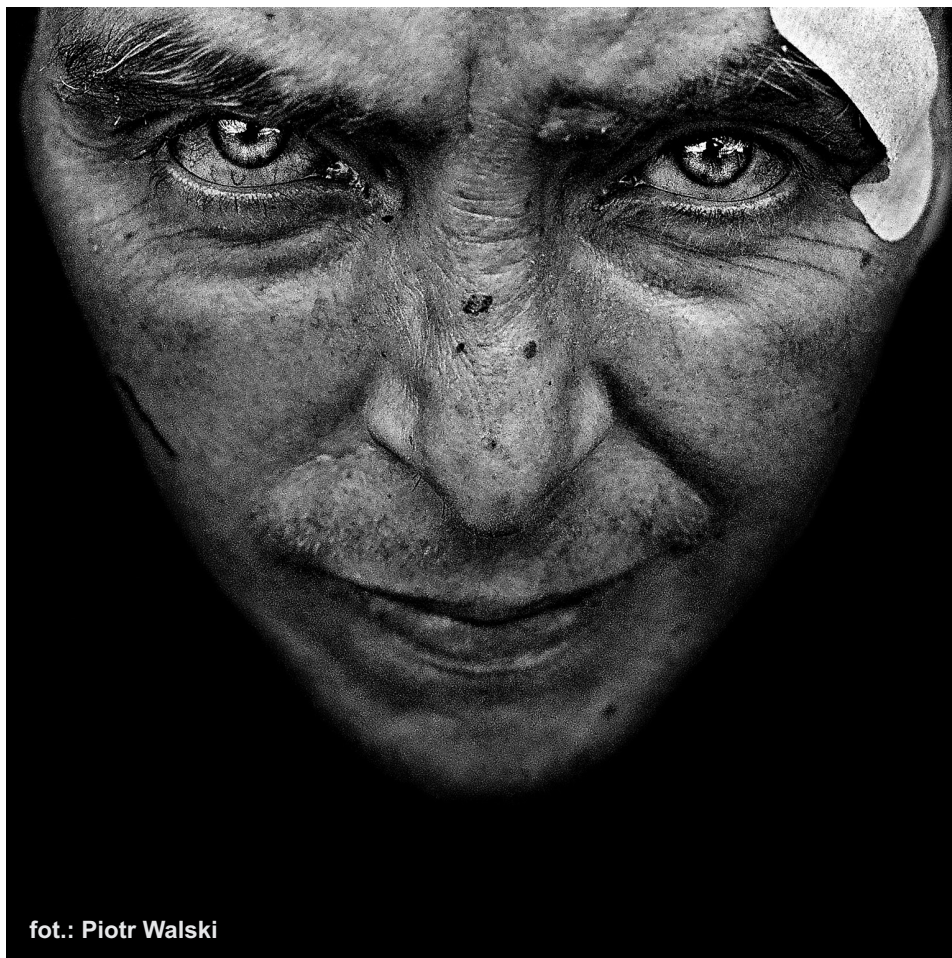
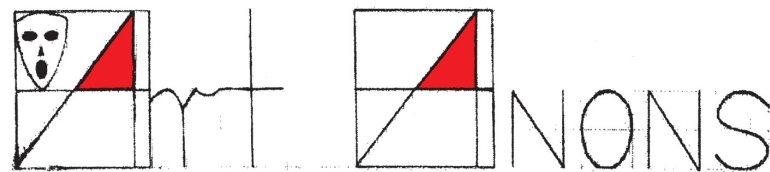




fot.: Piotr Walski



M A G A Z Y N K U L T U R A L N Y +

NR 0

PAŹDZIERNIK 2006

M A N I F E S T

Stare przysłowie mówi, że początki bywają trudne. Jest jednak coś o czym ludowa mądrość już nie wspomina. Jest to odświeżający powiew nowości, entuzjazm twórców, zapał, ambicja i tak dalej, bla, bla, bla. Zanim spadnie na nas rzeczywistość – niczym worek kartofli – wszystko za-powiada się bardzo dobrze. Potem już jest gorzej, ale nie po to zacząłem pisać żeby od razu marudzić, na to przyjdzie czas później. Tak więc, jeżeli ktokolwiek to czyta, to znaczy że pierwszy krok już został postawiony. Teraz czas na następne, a jest pod górkę.

Manifest to, pozwolę sobie zacytować, „ore-dzie (...) deklaracja publiczna organizacji społecz-nych (...)”. Tak więc uroczyste zachęcam was do czytania, bo jesteśmy tacy wspaniali... Nie jesteście przekonani? Ja też nie jestem, ale nie mylcie lekko cierpkiego posmaku tych słów z dez-aprobata. Nnie po to ten artykuł się ukazał, żeby was natychmiast odstraszyć. Manifest to dawniej znaczyło tyle co protest i skarga. Niniejszym składam więc zażalenie na kierownika sklepu z tan-detą, która nas otacza. Na tych wszystkich, którzy potrafią tylko narzekać. Albo milcząc siedzą w kącie „bo im się to nie podoba”.

No dobra, ale co was to obchodzi, że jakiś facet sobie protestuje? Może powinienem przykuć się do jakiegoś pomnika albo co? Właśnie, dlaczego to w ogóle powinno was obchodzić? Ponieważ chodzi o to, aby przestać żyć w świecie motłochu, a zacząć kształtować dookoła siebie rzeczywistość. Macie głos, i możliwości – zróbcie z niego użytek. My, to znaczy grupka postrzelenców tak właśnie robi. I to w taki sposób, aby inni też mogli na naszych łamach coś powiedzieć. Jesteście naszym targetem. Może się ciężko z tym pogodzić, ale tak już jest – język ekonomii wdarł się nawet na wyżyny szybującej

wysoko kultury. I bardzo dobrze. Gdzieś na przestrzeni ostatnich lat zapomnieliśmy że Michał Anioł pracował za pieniądze, i to całkiem niezłe. A facet który mu płacił, to nie była babcia Zdzi-sia, z zawodu dojarka krów. To był człowiek, który miał gust. Nawet jeżeli dostawał nie do końca to co chciał, potrafił się do tego odnieść. Dlatego my też nie mamy zamiaru starać się czegoś zrobić dla byle jakiej babci. O nie, to musi być babcia niczym z filmu „Czerwony kapturek” (tatuaz nie jest wymagany) . Nikt nie każe wam się zgadzać z tym co zostanie napisane w tym i następnym numerze. Powiem więcej, jeżeli od czasu do czasu rzucicie w kąt, podrzecie, spalicie i zakopiecie któryś z numerów, to będzie także nasz sukces. Chodzi o wywołanie reakcji. Żeby wam to ułatwić dostaniecie miejsce w sieci dzięki któremu będzie można na nas krzyczeć, proponować, kłócić się i dziękować na kolanach za dostąpienie łaski czytania nowej wspaniałej gazety.

Pisanie o przyszłości ma swoje złe strony ale ma i dobre, nigdy nie wiadomo co się okaże. Być może za kilka miesięcy powiecie „miało być tak pięknie a jest jak zwykle”. Jak będzie – czas pokaże. Ale można napisać jak może się stać. Tak więc wynurzamy się spośród nie tak znowu wielkiego morza, a raczej płytkiej kałuży pism, które za swoich odbiorców mają nie całkiem jeszcze ogłupiałych telewizją ludzi. Będziemy starali się wam pokazać palcem co jest według nas warte uwagi. Nie pomylcie tylko tego magazynu z repertuarem jakiegoś kina. Nie naszym celem jest informowanie o wszystkim, bo wszystko jest dla wszystkich czyli dla nikogo. Lepiej żeby wybuchła dyskusja niż żebyście czytali nas niczym jakiś program telewizyjny. Jak powiadał mój historyk „żeby była dyskusja musi być ferment”. Mam

nadzieję że *Art Anons* taki ferment wprowadzi. Jeżeli komuś to o czym napiszemy będzie doskonale znane – świetnie. Punkty i brawa dla niego. Może przeczyta nasze subiektywne odczucia i z nimi się nie zgodzi. No ewentualnie może się zgodzić. I też będzie fajnie.

Podobno rekin kiedy przestaje płynąć umiera. Kiedy dookoła coraz więcej ryb dryfuje do góry brzuchem, my będziemy starali się odgryźć szmirze nogi. Czasami połaskoczemy kogoś ogonem po brzuchu. Tak dla urozmaicenia i odmiany. Dla nas czytelnicy to nie jakiś zbiór jednostek, które po przyswojeniu kilku informacji kiwają głową i idą na piwo. Tutaj chodzi o zbiorowość inteligentną i umiejącą wyrazić swoje zdanie.

Ale nie myślcie, że jak ktoś wypowie się na temat to zaraz wszyscy piszący zaczną mu schlebiać. Dość gotowania się w sosie kółek wzajemnej adora-

cji. Będziemy uważnie słuchać co do nas mówicie. Przemyślimy to, to mogę obiecać. A potem i tak zrobimy po swojemu. I nie dlatego, że chcemy dać wam odczuć jacy jesteście wspaniali dzięki naszej arogancji, ale dlatego że musimy dbać aby nie zostać następnym magazynem dla znudzonych gospodyń domowych. Czasami zrobimy coś co według was powinniśmy a czasem wręcz odwrotnie. Ludzie którzy opiekują się *Art Anonsem* mają własne zdanie i mają odwagę go bronić. Niech z fermentu narodzi się nowa jakość. Czy się uda? Wszyscy zobaczymy, gdzieś zza tej romantycznej wizji rewolucji jaką przedstawiłem wychyla się już, żmudna, codzienna praca. I to też jest niemałe wyzwanie.

Do następnego numeru.

przyjaciół redakcji

Jakub Ziobroń

(redakcja przyklaskuje)





W dyskusji „przy kawie” przeznaczanej do numeru zerowego udział wzięli:

prof. dr hab. Włodzimierz Wójcik – emerytowany już profesor Uniwersytetu Śląskiego, współtwórca Wydziału Filologicznego, prof. dr Jacek Wódz – szeroko poza Uniwersytetem i regionem znany socjolog, red. Matylda Sęk, Patryk Filipowicz – kulturoznawca. Dyskusję prowadził Tomasz Kostro.

toko

Przystępując do wydawania *Art Anons MAGAZYNU KULTURALNEGO* + postanowiliśmy zwrócić się do kilku osób z propozycją wzięcia udziału w dyskusji **przy kawie** na temat **kulturotwórczej roli wyższej uczelni w regionie**.

W ostatnim piętnastolecu powstało ich wiele w każdym niemal zakątku Polski, publicznych i prywatnych. Na efekty przyjdzie jeszcze poczekać, ale u nas Uniwersytet powołano do życia przed czterdziestu z górą laty, a mimo to w społeczeństwie polskim – paradoksalnie bodaj najbardziej wśród mieszkańców naszego regionu – istnieje głęboko zakorzenione przekonanie, że Zagłębie Dąbrowskie i Górny Śląsk to dzielnice kulturalnie zaniedbane. Czy długie już istnienie Uniwersytetu niczego w naszej samoświadomości nie zmieniło? Czy rzeczywiście u nas jest wciąż tak źle? Jak wyglądają na tym tle inne poza Uniwersytetem uczelnie, zwłaszcza artystyczne?

Osobiście nie uważam, że jest szczególnie źle. Jest tak samo jak wszędzie, czyli kiepsko. Ale u nas gra rolę dodatkowy czynnik w postaci mnogości ludzi. Nasycenie instytucjami kultury w proporcji do liczby ludności jest niedostateczne i na domiar złego często źle wykorzystywane.

Kto z Państwa zechce przypomnieć, jak to było?

Włodzimierz Wójcik

Jest powszechnie wiadomo, że uniwersytet w środowisku śląsko-zagłębiowskim zrodził się z marzeń ludzi tej ziemi, którzy na początku dwudziestolecia międzywojennego pragnęli wprowadzić w życie własne przeświadczenie, że do lepszej egzystencji dochodzi się przez zdobywanie wiedzy, kształcenie i samokształcenie. Chodziło

też o podniesienie swojego statusu materialnego, co jednocześnie o wzbogacenie intelektualne i duchowe własnej – i swoich bliskich – osobowości. Chodziło o dorobienie się na tej ziemi „węgla i stali” instytucji promieniującej na region, Polskę i świat światłem wiedzy i umiejętności. Po wojnie te oczekiwania spełniły się dzięki woli władz samorządowych i rządowych a przede wszystkim dzięki życzliwości Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którego organizmu wyrastała nasza Uczelnia z licznymi wydziałami uprawiającymi dyscypliny ściśle, przyrodnicze, techniczne czy humanistyczne. Ja mogę coś powiedzieć o humanistyce, ściślej o filologii. Powstała z procesu pączkowania. 16 czerwca 1973 roku przeszedłem z Uniwersytetu Jagiellońskiego na Wydział Humanistyczny UŚ. We wrześniu – dzięki dopływowi pracowników nauki – podzieliliśmy ten wydział na trzy: Nauki Społeczne, Pedagogika i Psychologia, Filologie.

Jako pierwszy prodziekan Wydziału Filologicznego – ulokowanego z uwagi na nieźle warunki lokalowe w Sosnowcu – 30 września 1973 roku poprosiłem do sali teatralnej dawnego „Domu Górnika” przy ulicy Żytniej przedstawicieli środowisk oświatowych, placówek kulturalnych, samorządowców, dziennikarzy i wielu ludzi dobrej woli. Z żywej dyskusji wyrosły sensowne plany współpracy nauczycieli akademickich i studentów z regionem. Wiadomo. Zawsze prawdziwa wyższa uczelnia ze swej natury wypełnia wielorakie zadania. Tworzy wartości, zmienia otoczenie, chroni rzeczy godne ochrony. Dzięki niemu zmienia się świat na lepszy, przyjemniejszy, bardziej wartościowy.

toko

Co na to młodsze pokolenie?

Patryk Filipowicz

Przed wszystkim humanizacja. Obecność uczelni wyższych o szerokim profilu kształcenia oraz ich aktywne uczestnictwo w rzeczywistości lokalnej jest moim zdaniem szansą na skuteczniejszą humanizację miast przemysłowych. Potrzeba istnienia uczelni jest ogromna zważywszy, że miasta powstałe na fali rewolucji przemysłowej zwykle mają o wiele mniejsze i mniej stabilne tradycje intelektualne i artystyczne.



Obecnie Sosnowiec zamieszkują w znacznej mierze ludzie dorastający w społeczeństwie agrarnym, urodzeni na wsi, którzy jako dorośli stanowili o społeczeństwie przemysłowym, natomiast

ich dzieci i w dużej mierze oni sami, wchodzą w etap zwany *postindustrialnym*, stanowiąc o tzw. *społeczeństwie informacyjnym*. W kontekście tych zmian oraz migracji ludności niemożliwe było wykształcenie się i zakorzenienie wyrazistych wzorów miejskości. Wydawać by się mogło, że do wzorów miejskości Sosnowiec nadal dochodzi po omacku, a w obliczu braku tych wzorów jednostka może mieć problem z tożsamością regionalną, z tożsamością mieszkańca, wreszcie taki człowiek może doświadczać poczucia wyobcowania z tej przestrzeni. Dlatego też można mieć nadzieję, że uczelnie wyższe przyczynią się do umacniania intelektualnych i artystycznych tradycji miasta, wartości, o które jednostka będzie mogła się oprzeć myśląc o swoim mieście.

Zastanawiając się nad rolą środowisk akademickich i twórczych w Sosnowcu, warto także zwracać się myślami w stronę Łodzi, miasta o zbliżonej historii, w którym to mieście humanizacja obszarów poprzemysłowych bez środowisk akademickich i artystycznych byłaby niemożliwa.

Najprościej rzecz ujmując, rolę uczelni wyższych w naszym regionie najłatwiej dostrzeżemy próbując wyobrazić sobie brak danej szkoły wyższej. To najskuteczniej pokaże nam sens ich istnienia.

Jacek Wódz

Jest rzeczą normalną, że gdy słyszymy o szkolne wyższej, czy jak to się ostatnio częściej mówi, wyższej uczelni, to nasze skojarzenia biegają najpierw ku nauczaniu. Taka jest zresztą pierwsza i podstawowa misja społeczna tych szkół. Ale trzeba sobie zdać sprawę z tego, że żyjemy w czasach poprzemysłowych, czy jak wolą inni, postmodernistycznych, gdzie wiele rzeczy zaczyna już mieć inny sens niż miało to 30 czy 50 lat temu. Logika przemysłowa, logika społeczeństwa modernistycznego opierała się na wykształceniu wysokiej klasy specjalistów w określonych zawodach niezbędnych do zatrudnienia w przemyśle czy usługach. I do tej roli formowane były wyższe uczelnie. To na uniwersytecie można było zostać dobrym prawnikiem, na akademii medycznej dobrym lekarzem a na politechnice dobrym inżynierem. Zdobywało się „dobry zawód” i miało święty spokój na całe zawodowe życie bo założenie

było takie, że zawód wystarcza by być społecznie użytecznym właśnie przez całe życie.

Matylda Sęk

Zmienia się również samo oblicze Śląska i Zagłębia. Region, który faktycznie uznawany kiedyś był za ściśle przemysłowy teraz otworzył się na nowe możliwości. Pojawia się coraz więcej instytucji zajmujących się kulturą. Nie mówię tu o multikinach czy komercyjnych imprezach organizowanych przez wielkie koncerny. Powstają takie miejsca jak Kinoteatr Rialto czy Centrum Sztuki Filmowej w starym kinie Kosmos. Prócz tego rodzą się liczne studenckie grupy teatralne, stowarzyszenia zajmujące się animacją kultury. W świadomości młodych ludzi istnieje potrzeba rozwoju zaplecza kulturowego regionu. Powstaje coraz więcej inicjatyw młodzieżowych. Ludzie, którzy mają pomysły i chęć coraz częściej sięgają po środki finansowe, jakie możemy uzyskać z Unii Europejskiej, różnych programów i fundacji. Powstawanie małych galerii, wystawy w miejscach publicznych pobudzają do działania takie instytucje jak muzea, o czym świadczą m.in. „noce w muzeum”. Warto zaznaczyć, że Uniwersytet Śląski również organizuje liczne imprezy np. Festiwal Kół Naukowych, przedstawienie na zaliczenie” gdzie możemy oglądać spektakle teatralne przygotowane przez studentów Kulturoznawstwa, uczestniczy w Międzynarodowym Studenckim Festiwalu Folklorystycznym.

Jacek Wódz

Otóż w okresie poprzemysłowym, w owym postmodernizmie, w który Polska wkracza wyjątkowo szybko i brutalnie zmniejsza się rola raz wyuczonego zawodu, zmniejsza się rola stałego zatrudnienia, a w cenę rosnać będą takie cechy jak kreatywność, swoista elastyczność wykształcenia czy wreszcie to co podstawowe, „dyspozycyjność intelektualna”, która oznacza konieczność w każdym wieku przestawiania się na inny typ myślenia, nowe uczenie się itd.

I w tej sytuacji ta na stary sposób pomyślana misja wyższych uczelni pomału traci sens. Raz wykształcony inżynier może po paru latach być postawiony przed koniecznością nauczania się czegoś zupełnie nowego i to z dziedziny odległej od tego czego się na politechnice nauczył. W dodatku jest nie do przewidzenia, ani kiedy to nastąpi ani czego się trzeba będzie uczyć. Pozostaje więc coś innego, coś co rozumiały już uczelnie w produją-

UNIWERSYTECKA KAWA C.D.

cych krajach świata. Nie kształcić wyłącznie dobrze inżyniera (u nas mówiono „inteligenta technicznego” pod czym rozumiano kulturowego półanalfabety) ale kształcić także w dziedzinie tzw. kultury ogólnej. Bo nic bardziej nie otwiera umysłu na dalsze poszukiwania, jak poszerzanie kultury ogólnej. Z kolei to kształcenie w dziedzinie kultury ogólnej nie może być tylko nabywaniem wiedzy bo wyrabia postawy bierne, musi być otwarciem na aktywność w kulturze bo tylko wówczas daje szansę na trwałość takiej postawy. I tak oto misja szkół wyższych, czasem nawet wbrew ich własnej woli zaczyna być misją kulturotwórczą w sensie ogólnym. Na tym polega szansa na przyszłość

toko

To już rzeczywistość, czy wciąż tylko szansa?

Patryk Filipowicz

Zmiany związane z pojawieniem się i funkcjonowaniem uczelni wyższych uwidaczniają się z pokolenia na pokolenie, dlatego wydaje mi się, że możemy rozpatrywać zjawisko wciąż w kategoriach szansy. Jeśli część zagadnień, o których tu mowa, zdomowała się już w naszej rzeczywistości, to pamiętajmy, że jest to wciąż rzeczywistość krucha, młoda, która wymaga pielęgnacji, rozwoju. Niewykluczone, że w przyszłości pewna spuścizna tutejszych uczelni wyższych uznana zostanie przez kolejne pokolenia za tradycje intelektualne miasta, podobnie jak działania współcześnie tworzących tu artystów wszystkich pokoleń i środowisk twórczych. Takimi zwiastunami umacniania humanistyki mogą być chociażby organizowane przez Uniwersytet Śląski i Miejską Bibliotekę Publiczną – *Sesje Zagłębiowskie* poświęcone badaniom nad charakterystyką regionu Zagłębia czy też powołanie konkursu o *Zagłębiowską Nagrodę „Humanitas”* przez Wyższą Szkołę Zarządzania i Marketingu w Sosnowcu, która jak widać także poszerza swój profil działań o dziedzinę z zakresu szeroko pojętej humanistyki.

Wciąż jednak jest to szansa i sam fakt istnienia uczelni wyższych w tym a nie innym mieście wnosi niewiele, jeśli nie przekłada się to na aktywną, częstą współpracę pomiędzy administracją miasta, a środowiskami akademickimi i twórczymi chociażby w sferze konsultacji. Tylko wtedy można będzie

mówić o upowszechnianiu humanistyki i atmosfery twórczej w mieście. Szansy tej nie wolno zmarnować, ponieważ ryzyko regresu humanistyki na naszym terenie jest wciąż spore, a poczucie pustyni kulturalnej mimo wszystko wciąż uzasadnione.



Matylda Sęk

O tym, jak dalece zmieniła się sytuacja w regionie świadczy fakt, że coraz więcej artystów i ludzi kultury zostaje na Śląsku. Coraz mniej ludzi wyjeżdża do Krakowa czy Warszawy. Region ma wielkie możliwości i jest fazie rozwoju kulturalnego. Tutaj jest jeszcze wiele do zrobienia i jest to szansa dla młodych ludzi. Rejony Śląska i Zagłębia coraz częściej są tematem rozmów na ogólnopolskiej scenie artystycznej. Region, który ma tak specyficzne tradycje, rozwija w tej chwili swoją własną tożsamość kulturową. Dla artystów ten poprzemysłowy krajobraz jest źródłem inspiracji.

Włodzimierz Wójcik

Oprócz kształcenia ludzi podejmowaliśmy inne, dodatkowe obowiązki. Szedł po prostu bogaty program odczytów w szkołach, domach kultury, klubach. Występowaliśmy w prasie, w radio, w telewizji. W Wydawnictwie Naukowym UŚ ogłaszaliśmy książki powstałe w naszym środowisku. Nasze prace drukowane były także w innych ośrodkach uniwersyteckich – krajowych i zagranicznych. Ważne jest i to, że do nas – do Sosnowca i do Katowic – zjeżdżali z referatami i na konferencje uczeni z innych Uniwersytetów.

Jeżeli w ciągu 33 lat pracy w Uniwersytecie Śląskim wypromowałem około 980 magistrów polonistyki i bibliotekoznawstwa, 18 doktorów, jeśli opiniowałem dużą ilość habilitacji, kandydatów do tytułu profesora – to znaczy, że uczestniczyłem w awansowaniu wielu utalentowanych ludzi przeważnie naszego – chociaż nie tylko naszego – regionu. A przecież nie byłem tu sam. To u nas w Sosnowcu, w Katowicach, w Cieszynie zgromadził się zespół wspólnych ludzi, mądrych, utalentowanych, ofiarnych i pracowitych. Jedni byli miejscowi, wielu przybyło z zewnątrz. Trzeba powiedzieć że do tych uczonych dołączyli nasi wychowankowie. Widać tedy, że w 2006 roku mamy w Zagłębiu i na Śląsku takie wartości, których nie było przed dziesięcioleciem.

toko

Serdecznie dziękuję za spotkanie. Zapraszam na następne.

P
R
Z
Y

K
A
W
I
E

Nr 0 / 2006
Str. 5 / 46





NIEROZMOWY Z BOGIEM

Matylda Sęk

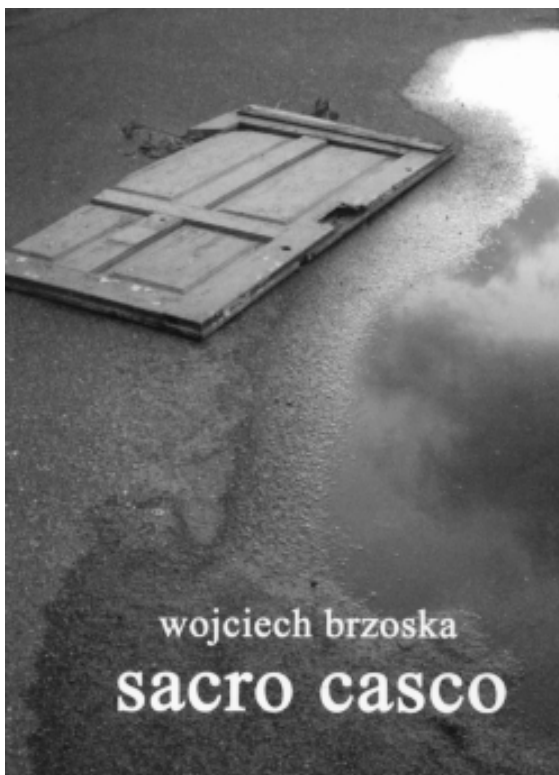
L
I
T
E
R
A
T
Y
K
A

Wojciech Brzoska pisząc swoje wiersze nie tylko kreuje nowe światy i znaczenia. Przede wszystkim filtruje otaczającą go rzeczywistość przez słownik własnych znaków. Świat wyraża w krótkich, wielopłaszczyznowych metaforach, metaforach ukrytych w języku potocznym, w codziennych grach językowych. Wplata w wersy dialogi, słowa podsłuchane w tramwajach. Każdy może się znaleźć w jego wierszu, minąć się z bohaterem wiersza na ulicy, ocierać się o niego w przepoconym autobusie. Przestrzeń miasta w tekstach wydaje się być bardziej żywa od jej mieszkańców.

Gdzieś w tym wszystkim poeta doszukuje się sensu, spogląda zza krat, choć nie wiadomo do końca, po której stronie tych krat stoi i gdzie one właściwie są. Miasto, mieszkanie, więzienie- przestrzeń otwarta czy przestrzeń zamknięta.

Brzoska w *sacro casco* przechadza się po ulicach miasta w towarzystwie śmierci i prowadzi rozmowy z Bogiem w swoim ironicznym języku. Wbrew pozorom mówienie w sposób niepoważny o poważnych rzeczach – samotności, miłości, zamknięciu, zwątpieniu, celowości, Bogu i o śmierci – sprawia, że stają się one bardziej prawdziwe, zwykłe, bliższe. Ukonkretnienie pewnych sytuacji pozwala nam przełamać barierę obcości, oswoić tabu.

Dość już mówienia, że Brzoska nawiązuje tradycją do brulinowców, do Świetlickiego. To już czwarty tomik tego autora, jego lingwistyczne zabawy towarzyszą nam we wszystkich. Poeta ma już wyrobiony swój konkretny język, który jest na tyle charakterystyczny, że łatwo go rozpoznać. Jeśli gdziekolwiek spotkamy dwuwers kończący się *mówi matka do swojego synka* - to na pewno będzie to Brzoska.



Wojciech Brzoska, „sacro casco”, MAMIKO, Nowa Ruda 2006.



sacro casco

Wojciechowi Wencłowi

i jest nam wmówione: bóg przemawia ustami
„poety”. on właśnie przeszedł przemianę, już nie jest
„rycerzem niepokalanej”. lecz zamiast w wino woda
tych słów przemienia nas

w drwinę z modlitwy tuż przed i
po. a było pisane: „nie jedź na spotkanie nie wierząc
w zbawienie przez wiersze dane od
pana. nasz śnieg jest tylko w bramach otwartych na

oścież, a lód na zakręcie, gdzie głuchych jak pień wyrzuca
prędkość wprost w drzewo
złego. niespodziewane zderzenie
ze śmiercią i zanik pamięci kluczowych

wierszy jak wiara w karę poddana
w wątpliwość. i bóg litościwy już po raz wtóry sprowadza na
ziemię, na dalszą diagnozę do
pogotowia. rozwój wypadków jak auto

casco kosztuje nas wieczność tych paru
chwil spisanych jeszcze na całe szczęście w prawdziwym

życiu.

prohibicja przesłania pielgrzymki

cała nadzieja w Panu

z nocnego

P

O

E

Z

J

A



**** (dwie gwiazdki)**

czynności profilaktyczne, np. zamykanie
śniegu przed śniadaniem. w ramach dyscypliny poranny
curling na chodniku. mop nadaje w rejonie wewnętrznym.
pełna synchronizacja, chociaż dominują raczej żółte figury:
trapez, koło, pas
(tacka, kubek, lamperia).

wszystko pasuje
i się wylewa, żółć i biel w wąskim gardle
stołówki, w AOrcie zasad: Alkohol, Alkomat, Out.
albo, w ramach k.o., poobiednie petobranie
wzdłuż krawężnika, w zamian za przepustki
do krainy pizzy, tesco i bigstarów.

dwie gwiazdki coraz bliżej,
wystarczy dać ulepić z siebie bałwana
i zaśpiewać o księciu z innej bajki.

ta piosenka ma ryliard razy więcej den
niż jej wokalista.

że aż się chce do niej wracać.

P
O
E
Z
J
A

Nr 0 / 2006
Str. 8 / 46

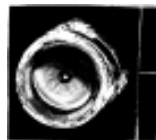
Wojciech Brzoska

ur.1978, poeta, redaktor Magazynu Literackiego „Kursywa”. Autor czterech książek poetyckich oraz kilku arkuszy. Współautor filmu poetyckiego Scrafitto. Jego twórczość tłumaczono na języki: angielski, niemiecki, czeski, słowacki, słoweński i serbski. Pochodzi z Sosnowca, obecnie mieszka i pracuje w Katowicach.



KOLOROWE ŁOMOTANIE

„Łomotanie jest jak pisanie pamiętnika. Tylko o wiele bardziej kolorowe”



Lomografię, młody nurt w fotografii, rządzący się brakiem zasad, pokazała ostatnio sosnowiecka galeria Patelnia 36. Była to bodaj pierwsza tego typu wystawa w Sosnowcu, może i w całym Zagłębiu. Autorem zdjęć oraz jednej łomościany był Przemek Skóra z Gliwic, inicjatorką wystawy – Ania Urgacz.

Jak to się stało, że zacząłeś łomotać? Może Lomo przypadkiem wpadł Ci w ręce? A może chciałeś być supermodny?

Aparat wpadł w moje ręce całkowicie przypadkowo, jakieś 7-8 lat temu. Znalazłem go w schowku samochodu mojego znajomego (rodzi się pytanie, czego szukałem w nie swoim schowku, hehe) i pamiętam, że bardzo spodobał mi się kształt Lomo i ta jego enigmatyczna klapka zasłaniająca obiektyw. Pamiętam, że byłem bardzo ciekawy, jakie zdjęcia robi to coś i zaproponowałem kumplowi, że sobie wezmę ten aparat, bo taki zakurzony przecież, i że na pewno go nie używa, i że po co mu on tak w ogóle. No i dostałem go. Po wypstrykaniu pierwszego filmu doszedłem do wniosku, że zdjęcia wyglądają jakby zostały zrobione przez kilkuletnie dziecko, ale kilka fotek spodobało mi się. Jakiś czas później wpadł w moje ręce artykuł w *Newsweeku* poświęcony lomografii i trafiłem tam na 10 zasad lomo. Przyznam, że się mocno zająrałem tym, że jest ktoś, kto poświęca tyle uwagi Lomo. Ale powiem szczerze, że po wejściu na stronę www.lomography.com i przejrzeniu kilkudziesięciu lomohome'ów rozboleła mnie głowa, bo okazało się, że zdecydowana większość użytkowników wrzuca na stronę kompletnie wszystko, przez co wiało nudą. Lecz po wielu godzinach błądzenia po stronie udało mi się wyselekcjonować kilkanaście osób, które robią naprawdę świetne rzeczy!

Supermodny być nie chciałem, bo wtedy tak wielkiego boom'u na Lomo nie było, przynajmniej w Gliwicach, nie byłem też zintegrowany z żadnym środowiskiem fotograficznym, a dla kogoś, kto nie wie, co to lomografia, Lomo LCA wygląda jak stary trup, więc komu miałem imponować?

Jak to się właściwie robi? Na stronach internetowych poświęconych lomografii, można przeczytać liczne rady: najlepiej mieć aparat Lomo, wzorowany na starym radzieckim sprzęcie o takiej właśnie nazwie. Ale jakie klisze, jak wygląda ich wywołanie?

Używam aparatu Lomo LCA, czyli tej klasycznej konstrukcji, z której wywodzi się lomografia. Wiem, że jest dużo więcej aparatów do wyboru, ale mnie to tak bardzo nie interesuje. Jak ktoś chce wiedzieć, o co chodzi, niech zajrzy na stronę www.lomohomes.com, lub www.lomo.art.pl.

Do Lomo zakłada się „normalne” filmy, czyli typ 135. Nie ma tu żadnego problemu. Można robić zdjęcia takie, jakie się chce: kolorowe, czarno-białe, można robić też cross (tym właśnie się zajmuję). Cross'owanie polega na tym, że slajd czyli film pozytywowo wywołujemy w procesie przeznaczonym dla negatywów, lub odwrotnie.

Lomo w swojej niedoskonałości rozmiłowane jest w przypadku i estetyce błędu. To fotki strzelane byle jak, byle gdzie, bez koncepcji. Czy rzeczywiście tak to się robi? Czy w takich zdjęciach można w ogóle odnaleźć jakąś głębie?

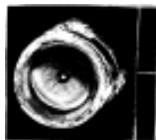
To, co mi najbardziej odpowiada w fotografowaniu Lomo to właśnie te wszystkie błędy, którymi jest obarczony obiektyw aparatu, co w połączeniu z cross'owaniem daje bardzo ciekawe i niepowtarzalne efekty. Uwielbiam ten moment oczekiwania na zdjęcia – zawsze jestem podjarany, bo nigdy nie wiem, co wyjdzie. Pracuję w laboratorium fotograficznym i często czekam niecierpliwie przy maszynie na swój film. Hehe, wyglądałem wtedy jak dziecko czekające na obiecaną jajko-niespodziankę. Zdarza się dużo bublek na negatywie, ale zazwyczaj kilka lub (rzadko) kilkanaście zdjęć podoba mi się.

Moja technika fotografowania w zdecydowanej większości pokrywa się z zasadami lomografii, co nie znaczy, że jest to dla mnie coś, czego staram się zawsze przestrzegać, zresztą jedna z zasad mówi: „nie przejmuj się zasadami”. Trudno jest

O
B
I
E
K
T
Y
W

Nr 0 / 2006
Str. 9 / 46





fotografować byle co, byle jak. Fotografuję tylko to, co mnie w jakiś sposób zainteresuje, rzadko korzystam z wizjera aparatu, bo i tak niewiele w nim widać, staram się świadomie ustawiać ostrość,

myślę o tym jak pada światło na obiekt, analizuję różne sprawy, nie można powiedzieć, że pozostawiam wszystko przypadkowi – trochę mu pomagam. A czy można odnaleźć jakąś głębie w takich zdjęciach? Czy potrafią skłonić do zadumy, wzruszyć? Na pewno mogą. To zależy od tego, kto jest odbiorcą i jak postrzega świat. Mnie wystarczy, że ktoś się uśmiechnie, kiedy zobaczy któreś z moich zdjęć.

Jakie są cechy Twoich lomotów? Z założenia nie przedstawiasz świata autentycznego. Jakie więc mają one być? Może po prostu ładne, przyjemne dla oka?

Biorąc pod uwagę technikę, jaką fotografuję, nie jestem w stanie pokazać świata takim, jakim go widzimy. W tradycyjnej fotografii, dla której mam ogromny szacunek, dąży się do uzyskania idealnych zdjęć – kompozycja, moment, ostrość, światło, jakość. Nie jestem w stanie tego uzyskać, używając Lomo i nie dążę do tego. Dobrze, kiedy zdjęcie wywołuje jakąś reakcję, jakąkolwiek. Fotografując Lomo poszukuję wyjątkowości, a nie doskonałości.

Przeczytałam gdzieś ostatnio taki cytat: „Czym jest dla Ciebie lomotanie..? Lomotanie jest jak pisanie pamiętnika. Tylko o wiele bardziej kolorowe”. Czym ono jest dla Ciebie? Masz w zamyśle jakąś misję, jakiś cel? Po co właściwie robisz lomozdjęcia?

Robię lomozdjęcia, bo jest to dla mnie po prostu świetna zabawa. Nie ma sensu dorabiać do tego jakiejś głębszej filozofii.

Okej, zatem bez filozofii. A czy wzorujesz się na kimś? Jakie są Twoje źródła inspiracji?

Otoczenie mnie inspiruje, świat. Pamiętam, że kiedyś, kiedy jeszcze nie nosiłem ze sobą stale aparatu, droga do pracy wyglądała zawsze tak samo – kilkanaście minut wyłączony, na autopilocie śmigałem do celu. Od czasu, kiedy stale noszę ze sobą Lomo, lub jakiś inny aparat każde wyjście z domu do przystojaka. Może troszkę przesadzam, ale kiedy mam aparat w kieszeni, staję się o wiele bardziej uważny i skoncentrowany na tym, co się dzieje wokół, o wiele więcej widzę.

Nie mam Lomoidoli, są osoby, których prace mi się podobają, ale nie staram się w żaden sposób kopiować, naśladować tego, co robią. Na po-

myśl crossowania nie wpadłem sam. Na samym początku oglądając niektóre lomohome'y intrygowało mnie jak ci ludzie uzyskują tak niesamowite kolory. Oglądałem, pytałem, eksperymentowałem i w końcu doszedłem do takich efektów, które mnie satysfakcjonują.

Lomografia nie jest fotografią popularną, z pewnością zawsze pozostanie nurtem niszowym, ma zresztą swoich przeciwników. Czy w swoich działaniach łączysz się z kimś, tworzysz jakąś lomotrupę?

Nie jestem zrzeszony w żadnym lomośrodowisku, może pomijając strony internetowe, na których pokazuję swoje zdjęcia wraz z innymi miłośnikami lomo (www.lomohomes.com/lomoskin, www.lomo.art.pl – skóra). W moim otoczeniu nie znam nikogo, kto zajmuje się fotografowaniem Lomo. Jestem tutaj sam na placu boju i nie mam w sumie nic przeciwko temu, bo przecież gdyby mi zależało na tym żeby się integrować, to przecież nie ma problemu – mamy internet, telefony. . nie ma problemu z komunikacją: -)

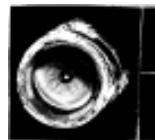
Wystawa w Patelni 36 była Twoją pierwszą wystawą, publiczną konfrontacją, bo myślę, że zawsze to jakieś „ryzyko” pokazać coś tak wręcz dziwaczного. Oczekiwałeś czegoś? Zrozumienia, aprobaty laików? Jakie uczucia? Jakie wrażenia?

Kiedy zaproponowaliście mi zrobienie wystawy, bardzo się ucieszyłem. Przede wszystkim dlatego, że miała to być moja pierwsza wystawa. Poza tym wernisaż to zawsze fajna okazja żeby porozmawiać, poznać kogoś, napić się czegoś: -)

Jak sama pamiętasz, wernisaż był udany. Ładnie mnie urządziliście z tym moim przemówieniem. „Przemek za 5 minut otwierasz swoją wystawę, musisz coś powiedzieć”. Nie byłem na to przygotowany. Ale było wesoło, nie? Przyznam szczerze, że się wstydziłem trochę, tremy dostałem, ale poszło jakoś. Pan Podsiadło (pozdrowienia tu dla niego) stwierdził, że dawno nie słyszał takiego przemówienia i stwierdził, że byłem luzakiem do końca, bo nie wyjąłem nawet rąk z kieszeni. Co się okazało dla mnie bardzo ważne po przygotowaniu wystawy to, to że udało mi się to wszystko co zrobiłem tym swoim Lomotem jakoś uporządkować i zebrać w całość. Heh najlepsze jest to, że od wernisażu nie zrobiłem żadnego lomozdjęcia. Tak jakbym zamknął pewien (duży) etap. Jakby coś się skończyło: -)

Zobaczmy co będzie dalej.

KOLOROWE ŁOMOTANIE CD



Duży etap? Czyli te 7-8 lat odkąd dorwałeś Lomo?

Myślę, że tak właśnie można to ująć. Wystawa zawierała fotki z praktycznie całego okresu mojej przygody z Lomo. Część zdjęć musiałem odrzucić, bo nie było aż tyle miejsca na nie i z różnych powodów nie pasowały mi do całości, ale mam je w pudełku i może kiedyś ujrzą światło dzienne: -)

Martwię się trochę o przyszłość mojego łomotania, bo dwa rodzaje slajdów, których używałem najczęściej, nie są już produkowane. Będę musiał znaleźć coś nowego, jak się wykluje z tego coś ciekawego, to na pewno dam znać.

Zajmujesz się również tradycyjną fotografią...

Zajmuję się, ale nie o tym jest ten wywiad: -)

Mogę tylko powiedzieć, że w moim przypadku, używanie Lomo poważnie wpływa na to, co robię w fotografii tradycyjnej: -)

Kim jesteś prywatnie?

Dowiesz się tego oglądając moje zdjęcia. Można zobaczyć tam wszystko to, co jest blisko mnie i co jest mi bliskie.

Dziękuję za rozmowę

Pozdrawiam serdecznie. Kocham Was: -)

Z Przemkiem Skórą rozmawiała Ania Urgacz

W K Ł A D K I I O K Ł A D K I

Luźna forma *Art Anonsu* służy temu, żeby Czytelnik mógł swobodnie ułożyć sobie całość według swego gustu. Tak zwane wkładki, czyli karty z reprodukcjami zdjęć, grafiki itp. mógł wykorzystać jako plakat, albo powiesić w antyramie. W dziale „Wkładki i okładki” krótko omawiamy zamieszczone w numerze reprodukcje.

Portrecista

„Mój dzień pracy to sytuacje okołobudowlane. I ludzie. To, co mnie najbardziej fascynuje i czego najwięcej na moich zdjęciach.”

Piotr Walski urodził się w 1971 roku, fotografuje od około 5 lat. Mieszka w Sosnowcu. Jego portrety można było oglądać na czerwcowej wystawie Zagłębiowskiego Towarzystwa Fotograficznego w Patelni 36. Więcej zdjęć na www.piotrwalski.com

Ich pierwsza

KOMA nie stawia sobie żadnego wielkiego celu. Nie ogłaszamy żadnego manifestu, nie buntujemy się, nie walczymy. Robimy swoje. Po prostu jesteśmy czwórką przyjaciół, którzy są przy okazji mniej lub bardziej związani z fotografią. Chęć zjednoczenia się pod wspólną nazwą kielkowała już od jakiegoś czasu, aż wreszcie zaczęła powstawać strona internetowa, zrobiliśmy logo i ruszyło. Każdy z nas robi trochę inną fotografię, każdy z nas inaczej fotografię postrzega, inne wiąże z nią plany. Robimy to, co sprawia nam przyjemność. Coś, co daje nam satysfakcję. A możliwość dzielenia się tym w naszym gronie jest dla nas bardzo ważna.

Koma (<http://www.komafoto.pl>) w składzie: Piotr Jaworski (Kraków), Damian Mickoś (Sosno-

wiec), Mariusz Mickoś (Sosnowiec) i Adrian Nazimiec (Miechów) oficjalnie istnieje od 1 stycznia 2006 roku. W październiku zapraszamy na wystawę pod tytułem „Nasza pierwsza” w sosnowieckiej galerii Patelnia 36.

Strefa zrztu. Gra ciała.

Jest ich czterech. Paweł (Lisu), Adam, Marcin i Bambus. Spotykają się, kiedy tylko mogą, żeby tańczyć. Ćwiczą w korytarzach pasażu w samym sercu Sosnowca.

„Musisz wybrać własną drogę” – mówią.

Wieczorami zbiera się tłumek gapiów, żeby podziwiać ich tanecznie – ekwilibrystyczne popisy.

Mówią, że ich taniec to improwizacja, że prowadzi ich muzyka.

Pojawiają się też inni, którzy chcą tańczyć, przychodzą i odchodzą. Chłopaki ze Strefy Zrztu tańczą od lat. Pokazują, że jeśli ma się pasję to można się spełniać wszędzie.

Długo szukaliśmy. „Po wielu problemach z miejscem do tańca Miasto dało nam zgodę na tańczenie tutaj. W tej chwili powstaje szkoła tańca w Katowicach niedaleko Parku Kościuszki, w której będziemy uczyć tańca.”

komentarz do fotoreportażu

O
B
I
E
K
T
Y
W

Nr 0 / 2006
Str. 11 / 46





Tomasz Iwanek

MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

czyli jak gry komputerowe przenikają do świata filmu

S
U
B
I
E
K
T
Y
W

Radosna wymiana genów i pomysłów pomiędzy gałęziami przemysłu rozrywkowego prowadzi do dość ciekawych efektów. Filmy na podstawie komiksów, gry komputerowe na podstawie filmów, książki na podstawie filmów, komiksy na podstawie gier, gry na podstawie komiksów i w końcu filmy na podstawie gier komputerowych. Na adaptacjach filmów do świata elektronicznej rozrywki ciąży swoista klątwa. Z nielicznymi wyjątkami takie gry są fatalne, źle oceniane przez branżę, a sprzedają się jedynie dzięki reklamie, którą zapewnia głośny film. Jak jest w drugą stronę? Czy filmy na podstawie gier da się oglądać?

Uwe Boll to człowiek dobrze znany w środowisku fanów gier komputerowych. Cieszy się dość ponurą reputacją. Uznawany jest za osobę, która w dużej mierze przyczynia się do propagowania obrazu gier komputerowych, jako miałych i infantylnych zabawek dla małych chłopców i niedorozwiniętych emocjonalnie dużych chłopców. Jak mógł tego dokonać? Kręcąc fatalne filmy. Do tego oparte na licencjach średniej jakości gier.

Niemiecki doktor filmoznawstwa, Uwe Boll, już od wielu lat kręci filmy, niektóre nawet dobre. Za tworzenie potworków na podstawie gier zabrał się dopiero w 2002. Spod jego ręki wyszły do tej pory trzy takie filmy, a w produkcji są cztery następne. Charakteryzują się przede wszystkim... nieprawdopodobnie niskim poziomem wykonania. Fatalne aktorstwo, amatorskie efekty specjalne, nędzne scenariusze oraz przejmujące i przerażające stęzenie infantylizmu i nieudolności, promieniująca wprost aurą rozkładu intelektualnego. Do tego doktor Boll z reguły wybiera licencje gier, które co prawda sprzedają się dobrze, ale bynajmniej nie są przykładem skomplikowanej fabuły czy niezwykle wiernego portretu psychologicznego postaci. Słowem: wybiera produkcje o miernym poziomie intelektualnym, ale o dobrych wynikach sprzedaży. Tak oto powstały jego trzy dotychczasowe dzieła: „House of the Dead” – horror opowiadający o polowaniu na zombie; „Alone In the Dark” – thriller/horror jako jedyny oparty na wspaniałej

serii gier komputerowych, które osadzone były w świecie koszarów Howarda Philipsa Lovecrafta; reżyser mając świetną licencję, dobrą fabułę i ciekawe postacie do wykorzystania zdecydował zrobić wszystko po swojemu, co w efekcie dało nam możliwość zapoznania się z kiepską podróbką kina akcji klasy B; i w końcu „Bloodrayne” – opowieść o półwampirzycy szukającej zemsty na swoim ojcu. Krytycy oceniają najlepszy film Bolla, „The House of the Dead”, na w porównaniu 3/10 punktów.

Pojawiają się nawet głosy, że doktor Boll jest współczesnym wcieleniem Eda Wooda, autora filmów uznawanych za najgorsze w historii kinematografii. Filmy Wooda miały jednak w sobie pewien szczególny romantyzm, jakąś nutkę geniuszu, absurdalną perfekcję w swojej nieudolności. Bo czyż nie rozcudzającym jest widok gumowej ośmiornicy udającej zombie z kosmosu? Filmy doktora Bolla nie charakteryzują się niczym takim. Są prostymi produkcjami, przykładem tego, jak nie należy kręcić filmów oraz jak nawet z dobrych aktorów zrobić pataczy.

Nie powinno dziwić, że trzy dotychczasowe dzieła miały bardzo mizerne wyniki finansowe. Co więcej, nie były w stanie nawet zwrócić kosztów produkcji. A koszty te cały czas rosną, chociaż trudno spostrzec, na co te rozbuchane budżety są przeznaczane. Bo przecież nijak nie przekładają się na jakość. Najnowszy film, „Bloodrayne” kosztował około 20 milionów dolarów. W kinach na całym świecie zarobił niecałe... trzy miliony dolarów. Jak to możliwe, że po tak spektakularnych porażkach Uwe Boll jest w stanie ciągle kręcić filmy, a prowadzona przez niego firma – prosperować? Jakimi mrocznymi mocami broni się przed bankructwem i zapomnieniem? Otóż Boll jest pośrednim beneficjentem nadużywania przez przedsiębiorców ciekawej luki w niemieckim prawie podatkowym. Pozwala one na wpisanie w kosztą działalności gospodarczej inwestycji w film. Warunkiem jest, aby film ten nie zwrócił swoich kosztów – czyli zrobił klępkę. Dzięki

Nr 0 / 2006
Str. 12 / 46



MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU C.D.

temu, od kilku już lat Uwe Boll dostaje miliony dolarów od niemieckich koncernów na produkcję coraz to bardziej szkodliwych dla zmysłu estetycznego i szarych komórek dzielek.

Dwie części „*Tomb Raider*” z Angeliną Jolie w roli głównej. Dwie części „*Resident Evil*” z Millą Jovovich. „*Doom*”, oparty o jedną z najlepszych gier w historii, wielki hit wczesnych lat dziewięćdziesiątych. I „*Silent Hill*”, małe objawienie, jednooki wśród ślepców, najlepszy film spośród adaptacji gier. Wszystko to filmy o dużych budżetach, tworzone przez fachowców i zdolnych rzemieślników, zatwierdzone przez rady nadzorcze wielkich koncernów. Kolejne wytwory Fabryki Snów. Wszystkie jednak oparte są na motywach i fabułach gier komputerowych. I wszystkie wpisują się w kategorię zupełnie odmóżdzonej rozrywki, serwowanej razem z lobotomią w wielkich kinopleksach. Rozrywki, jaką kochają miliony.

Żaden z tych filmów nie został tzw. „filmem dobrym”. Nawet w kategorii „kino rozrywkowe”, kino akcji, zdarzają się dzieła, które zobaczyć warto, które pomimo przynależności do rozrywki odmóżdzonej mają „coś”, jakiś element, dla którego warto jest te dwie godziny życia dla nich poświęcić. Żadna z adaptacji gier nie miała tego „czegoś”. Przeciętne oceny krytyków, zimne przyjęcie przez fanów gier, i paradoksalnie dobre wyniki finansowe. Na tyle dobre, że teraz kręci się trzecie części „*Tomb Raider*” i „*Resident Evil*”.

Co jednak sprawia, że nawet w swojej rządzonej odmiennymi prawami kategorii kina rozrywkowego żaden z tych filmów nie poradził sobie zbyt dobrze? Stereotypowa odpowiedź brzmi: gry nie mają nic do zaoferowania, więc film oparty na grze też jest, sui generis, skazany na los metysa nieudacznika. Jest to odpowiedź prawdziwa i nieprawdziwa zarazem. Gry komputerowe, tak jak każde medium, każda forma rozrywki, są zróżnicowane. Najwięcej jest twórców przeciętnych, miałych i pustych, nie mających do zaoferowania nic, czego jeszcze nie było. Istnieje też morze szmiry, żalonych odrzutów niedouczonej programistów. Radosnych porażek, które liczą na pomyłkę, dzięki której ktoś je kupi. Niestety, większość adaptacji gier komputerowych przyjmuje za punkt wyj-

ścia, warunkujący sensowność całego projektu, średniej jakości grę, o dość marnej fabule. Nikt jakoś nie chce podjąć się ekranizacji tych co bardziej ambitnych produkcji, kierowanych do dorosłych odbiorców, poważniejszych opowieści, poruszających poważniejsze tematy.

„*Doom*” z założenia fabuły nie miał. Dopiero część trzecia gry wprowadziła jakiś jej zarys, jakieś tło i kilka wyrazistych postaci. Pewien bezimienny geniusz ze studia Universal stwierdził jednak, że taki tytuł nada się najlepiej na film akcji/grozy. Jeszcze lepszym pomysłem wydało mu się osadzenie filmu...w zupełnie innej rzeczywistości niż gra oraz całkowita zmiana tła fabularnego. Tak oto powstał film „*Doom*” – kastrat, pozbawiony większości cech swojego protoplasty. Po premierze studio wyraziło ubolewanie z powodu miernej popularności, jaką film cieszył się wśród fanów gry...

„*Tomb Raider*” to kopia przygód Indiany Jonesa, minus naziści i nieogolony bohater, plus wielki biust głównej bohaterki i jakieś niewyjaśnione spiski. Wielce to nieoryginalne. Niestety gra polegała głównie na rozwiązywaniu zagadek lokacyjnych i logicznych, więc dla potrzeb filmu dorobiono do niego fabułę, nie mającą zbyt wiele wspólnego z pierwowzorem. Efekt? Fani zareagowali zimno, a szeroka publiczność podeszła do tego filmu tak, jak do każdego innego filmu akcji. Nawet silikonowe wargi Angeliny Jolie nie przyciągnęły do kin fanów gry.

Wyliczenie takich kwiatków może być długie, tym bardziej, że na choćby wzmiankę czeka jeszcze kilka wielkich dzieł kinematografii, takich jak „*Street Fighter*” (nazwisko odtwórcy głównej roli: Jean Claude van Damme, mówi chyba wszystko o tym filmie) czy „*Mortal Kombat*” (reprezentacja mistrzów sztuk walki toczy turniej w piekle, walcząc z wysłanymi przez władcę innego wymiaru najeźdźcami; z kosmosu; grupie ziemian przewodzi bóg piorunów; od głębszej refleksji nad fabułą mózg zaczyna się topić).

W zasadzie jedynym filmem, który można określić jako „dobry” (acz, nie bez pewnych zastrzeżeń) jest „*Silent Hill*”. Oparty jest na przebojowej serii horrorów psychologicznych, tworzonych przez ja-



S
U
B
I
E
K
T
Y
W

Nr 0 / 2006
Str. 13 / 46





pońskie studio Konami. Film ten ma nie-
zwykłą koncepcję plastyczną, głęboko
osadzoną w mitologii i poetyce gry, ale
jednak swobodnie wychodzącą poza nią
i twórczo ją rozwijającą. Dobra scenogra-

fia, okraszona profesjonalnie wykonanymi efekta-
mi specjalnymi nadaje odpowiedni ton, a spójna fa-
buła pozwala zobaczyć ten film z przyjemnością,
bez ironicznego podnoszenia brwi na jakże częste
w kinie lapsusy logiczne. Do tego należy jeszcze
dodać niepokojąco surrealistyczne potwory, ba-
zujące na podświadomych lękach każdego z nas.

Oczywiście, „*Silent Hill*” nie jest pozbawio-
ny wad. Jednak zasługuje na uznanie, gdyż jest
najgłębiej i najpełniej wierny pierwowzorowi,
jednocześnie stanowiąc spójne i odrębne dzieło,
które może zainteresować osobę nieobeznaną
z grą. Czym różni się od wymienionych wyżej po-
przedników? Wiernością pierwowzorowi, ścisłą
współpracą twórców gry z reżyserem i producen-

tem filmu, polotem plastycznym i ogólną kohe-
rencją produkcji. Fundamentalną jednak różnicą
jest ewidentna w końcowym dziele...emocja
twórców. Włożone serce. Jest to niestety wnio-
sek godny rozprawki pisanej w podstawówce, ale
chyba właśnie robienie jakiegoś filmu z sercem
nadaje mu cech „dobrego” dzieła.

Trochę niefortunne przygody z ekranizacjami
gier komputerowych są dość wyrazistym przykła-
dem działania maszyny marketingowej, która ze
wszystkiego wysysa jak najwięcej dolarów. Filmy
kręcone przez amatorów, wyrobników, obsadzone
takimi talentami aktorskimi jak np. Dwayne John-
son, (były amerykański zapaśnik ligi WWF, które-
go z nieznanых przyczyn Hollywood usiłuje zmie-
nić w aktora) i okraszone absurdalnie idiotyczną
fabułą nie mają racji bytu. Przy okazji, ukazują tzw.
szerokiej publiczności gry komputerowe w niezbyt
pochlebnym świetle, utwierdzając tylko co bardziej
spektakularne stereotypy.



Ilona Kula O B R A Z

Pewien mężczyzna miał w mieszkaniu dwa portrety. Jeden swój, drugi nie.

Swoją nieudaną mimo osobistej urody, drugi udany, pomimo że model fizjonomią człowieka nie dorównywał małpie. Słowem – szkarada. Często zadawał sobie pytanie jakim cudem malarz tak boleśnie dla niego się pomylił. Brał pod uwagę wiele czynników, od szaleństwa artysty po zazdrość, gdyż malujący nie był znanym przystojnym, skończywszy na możliwości urażenia go którymś ze swych dowcipów. Kiedy wracał do domu, po otwarciu drzwi stawał oko w oko ze swą koszmarną gębą. Dopiero po skierowaniu wzroku na boczną ścianę gdzie wisiała piękna bestia odzyskiwał spokój. Po kilku tygodniach obcowania z obrazami zaczął gorączkowo przeglądać się w lustrze, ale coraz mniej wierzył własnym oczom. Pewnego ranka zadzwonił do malarza obiecując podwoić stawkę za powtórne namalowanie jego, tym razem, podobizny. Jako że pieniądze uskrzydlały artystów, a już z pewnością taksówki, pukanie do drzwi rozległo się w kilka minut po odłożeniu słuchawki. Praca trwała dobre pięć godzin. Niestety efekt niczym nie różnił się od poprzedniego. Zdenerwowany mężczyzna odmówił zapłaty i jął się przeklinać artystów. Gdy malarz próbował go udo-

bruchać i zaproponował 1/2 z umówionej kwoty, ten wpadł w furję i wyskoczył przez okno. Przerazony artysta zbiegł prędko po schodach i omal nie stracił przytomności na widok galimatiasu krwi i mięsa, albowiem samobójca spadając zawadzał ciałem o balkony i różne inne wypięte części budynku.

Na pogrzebie siostra zmarłego zażyczyła sobie zobaczyć jego twarz po raz ostatni, póki jeszcze nie napoczęło jej życie, bodajże, wieczne. Malarz podchodził do otwartej trumny ostrożnie, z taktem, jakby ruch przeznaczony na co dzień dziś groził zapadnięciem się pod ziemię, a zważywszy na grunt nie byłoby to zwyczajne zapadnięcie. Jednak to, co zobaczył w środku przyprawiło go o tak silny zawrót głowy, że osunął się do grobowego dołu wyprzedzając zwłoki. Niesłychane! Pan prezes Stanisław wyglądał tak samo jak na portrecie, z którym próbował walczyć.

Parę tygodni po pochówku malarz roztrząsał tę dziwną sprawę z kolegami przy piwie. Jakiś, być może, pisarz, rzucił ściskając ze śmiechu brzuch:

– Co za gość. Ledwo cię znał, może nawet miał ochotę dolać ci trucizny do herbaty, a umarł, żeby się z tobą nie kłócić. Mało. Żeby się z tobą zgodzić!

Bartek Rusek L A W I N A

Pamięci poległych pod Rysami 28.01.2003.

„Góry są żywołem...”

- Michał Jagiello

Góry były puste i słoneczne. Stałem razem z B. na werandzie i czekaliśmy na nich. Stało jeszcze kilka osób. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w zbocze przecięte linią ścieżki. Było ciepło i sucho, tylko gdzieś tam w żlebach topniały jeszcze szarobiałe płaty śniegu, śniegu, który kilka miesięcy wcześniej przyniósł śmierć.

Dzień był wyjątkowo piękny. Pamiętam, że było bezwietrznie, panowała straszna, wręcz wszechogarniająca cisza, którą gwałcił, co jakiś czas huk śmigłowca transportującego z góry sprzęt. Latał tam i z powrotem jak wielka, pracowita pszczoła. Za którymś razem przelatował bardzo nisko nad nami, i poculiśmy podmuch wirnika na naszych twarzach. Powiedziałem wtedy do B. – „Popatrz, to niesamowite, do czego zdolny jest Człowiek: kilka ton żelastwa, parę osób w środku, a unosi się w powietrzu, jakby to wszystko nic nie ważyło!” Przytaknął i razem powiedliśmy wzrokiem za malejącą na tle szczytów maszyną.

Było późne popołudnie, nagle ktoś powiedział „idą” i wskazał palcem. Szli. Powoli, grupą, ubrani na czerwono i widać ich było z daleka. Minęło jeszcze kilkanaście

minut zanim do nas doszli. Przez ten czas patrzyliśmy na nich w ciszy i bezruchu, śledziliśmy wzrokiem ich drogę, widzieliśmy jak się zmieniają, jak meczą pod jej ciężarem. Obserwowaliśmy jak wolno okrążają staw i dochodzą do schroniska. Położyli zawinięte nosze na ziemi, jeden młody został, a reszta weszła do środka. Rozsiedli się przy stole jedząc i rozmawiając. Zmęczeni, zadowoleni z dobrze wykonanej roboty. Niewzruszeni, jak góry.

Ona była ostatnia. Ostatnia z całej grupy. Leżała tam sama, zamrożona w przaśności. Zaskoczona górami. To był inny świat, biały i mroźny. Świat bez kompromisów, bez reguł i ulg. Koledzy, koleżanki, zabawa i radość. Najwyższy szczyt i ostatni dzień. Ostatni dzień. Minęło pięć miesięcy zanim ją znaleźli. Pomogli słońce.

Następnego dnia mieliśmy się wspinać. Balem się jak nigdy. Chciałem uciekać, mimo, że dzień był piękny i mieliśmy zapas czasu. Poszliśmy; ostrożnie i z respektem. Weszliśmy w słońce, szczęśliwi, dumni. Gdy dochodziliśmy do schroniska zaczynało padać, a niebo stało się coraz ciemniejsze.

Jeszcze tego dnia pojechaliśmy do domu.

Styczeń 2004.



P

R

O

Z

A

Nr 0 / 2006
Str. 15 / 46





Rafał Kordeusz

Iesus autem tacebat

Zapytany o prawdę milczał
Ni ust nie otworzył

Wsluchiwał się w wieczność
I twarz wystawiał do słońca

Prowadził wzrokiem Piłata
Przestraszonego i z rozdartym sercem

Znał i rozumiał to serce
Spojrzeniem dobra uspakajał je

Czekał jeszcze na pytanie o władzę
Lecz stopą jedną stał już na Litostrotos

A potem czas się zatrzymał
I wszystko tak trwa w milczeniu

W tej ciszy trwa tak świat
Ze wstydem w oczach

Wpatrzony w milczące oblicze
Prawdy

* * *

Ojcze nasz którego nie ma w niebie
Bo tu jesteś
Niech błogosławione będzie
Twe imię
Niech twoje królestwo stanie się
I naszym udziałem

Według twojej woli
I tu i tam

Daj to co potrzebne by
głody nakarmić

I zapomnij o złym
Tak jak my niedołężni
W swej pamięci zapominamy

Niech będzie tak jak jest
- tylko w dobrym

Amen

Modlitwa Judasza

Pożałuj mnie choć trochę
Nie zrozumiałem mej biedoty
Gdy tuliłem głowę w wieczność

Uwierz w moim pocałunku
Nie tylko zdrada była
Ale i żdźbło miłości

Zarzuciłem sznur na gałąź najwyższą
By wspiąć się do ciebie
Lecz ufności zabrakło

Pękła

Spójrz
Oddałem wszystko już
I srebrniki...
... i życie

Czy ty przyjmiesz choć duszę moją

Teraz już wiem
Że miłosierdziem jesteś
Czy dasz więc
Jeszcze jedną szansę ?...

TARANTINOWSKA GRA W CHOWANEGO

Matylda Sęk



Magia kina zachwyca nas już od ponad stu lat, jest odpowiedzią współczesnych na otaczający ich świat, refleksją nad przeszłością i futurystyczną wizją marzycieli. Wydawałoby się czasem, że wyczerpało już wszystkie tematy, a jednak powstają coraz to nowe obrazy, odmienne w swej formie i treści. Przeciętny widz ogląda mnóstwo dzieł filmowych, kodując w swej podświadomości schematy kulturowe kreowane przez kino. Filmy stają się coraz bardziej intertekstualne, zapraszają kinomana do zabawy w chowanego. Gra w odkrywanie kolejnych elementów szeroko pojętej kultury popularnej staje się dla wytrawnego widza prawdziwym wyzwaniem. Quentin Tarantino proponuje nam właśnie taką zagadkę – zagadkę. Po, bez mała, sześćioletniej przerwie, skonstruował oryginalną opowieść, będącą manifestem jego fascynacji filmami kung – fu. Fabuła *Kill Bill vol. 1* nawiązuje do filmów z epoki braci Shaw i czarno – białego kina samurajskiego z lat 70 i 80. Nie brakuje nawiązań do Sergio Leone czy włoskiego kina grozy Mario Bravy i Dario Argento oraz japońskiej anime Suzuki. Bawią nas schematy z filmów o yakuza i dramatu samurajskiego zniekształcone przez pryzmat oka hollywoodzkiego geniusza groteski. Film jest pełen nawiązań i klisz, których nie sposób wyłapać na pierwszy rzut oka. Historia głównej bohaterki, na przykład, przywołuje na myśl *Pannę młodą w żałobie* Francoisa Truffanta. Tarantino zongluje pop kulturowymi motywami przeplatając je ikonami zaczerpniętymi z kultury japońskiej. Ciekawą sceną jest *Showdown at House of Blue Leaves*, właściwie cała utkana z nawiązań, genialna gra konwencji.

Na salony Domu Błękitnych Liści, którego nazwa przywołuje tradycje nazewnictwa pomieszczeń pałacowych w Japonii i Chinach, wprowadza nas gang Szalonych 88 –ek. Kadry nakręcone w zwolnionym tempie, przywołują na myśl obrazy z hollywoodzkich produkcji klasy B, o młodocianych gangach z latynoskich slumsów. Dowódca armii yakuza i jego ludzie noszą na twarzach maski przypominające skrzyżowanie masek Zorra, Batmana i wojowniczych żółwi ninja. Na czele

kroczy uroczą i niebezpieczną O – Ren Ishii (Lucy Liu). U jej boku, piękna i wyrachowana Soffie Fatale (Julie Dreyfus), porównana, ze względu na specyficzny ubiór, do czarnego charakteru ze *Star Treka*. (Imię tej postaci jest ciekawym połączeniem kinowej femme fatale i Soffie Marceau.)

Kiedy na scenie pojawia się Czarna Mamba (Uma Thurman), ubrana jest w żółty dres, wzorowany na stroju Bruce’a Lee z filmu *Game of Death*. W dłoni Uma dzierży broń, wykonaną przez Hattori Hanzo (Sonny Chiba) – genialnego wytwórcę mieczy. Co ciekawe, tak samo nazywała się postać grana przez Chiba w serialu *Hattori Hanzo: Kage no Guardian*. Rozpoczyna się krwawa rzeź rodem z filmów kręconych w Hong Kongu w latach 70. Mamba morduje z zimną krwią całą straż przyboczną O – Ren. Dziko wyjący gangsterzy są parodią bohaterów filmów o yakuza, nieopanowani, chaotyczni, niezbyt biegli w sztuce władania kataną. Jeden z nich z postawionymi włosami, w masce na oczach, swoją mimiką przypomina szalonego Jokera z *Batmana*. W całą tą komedię jest znów wpleciony element kultury Japonii. Cięcia, które wykonuje Mamba są podstawowymi uderzeniami w kendo. Genialnym podsumowaniem pierwszego ataku jest uderzenie pięścią w rękojeść miecza – autentyczny gest wojowników przy strącaniu krwi z ostrza. Oklaski należą się tu autorowi zdjęć Robertowi Richardson i montażu Sally Menke. Ujęcia są świetne, a montaż doskonale oddaje dynamikę walki. Ale największe laury zbiera Yuern Wo – Ping, odpowiedzialny za choreografię walk, współtwórca sukcesu *Matrixa*. Prawdziwa jatka zaczyna się, bowiem kiedy bohaterka walczy z całym gangiem Szalonych 88 – ek. Krew tryska fontannami, latają odcięte kończyny, scena ta to już zakrawa na camp. Kadry te są kalką z walki Nea – bohatera *Matrixa Reaktywacji* z klonami. Jednak elementy wire dancingu ograniczone są do minimum. Najbardziej widoczne są podczas walki z Johnym Mo, kiedy pojawiają się nawet motywy zaczerpnięte z *Przyczajonego Tygrysa*, *Ukrytego Smoka* reżyserii Ang Lee.

OKIEM
KRYTYKA

Nr 0 / 2006
str. 17 / 46





Tarantino sięga również po czarno – białe kino samurajskie. Kiedy cały ekran zalany jest już krwią nagle „gaśnię” kolor. Gaśnie kiedy Thurman wyrywa oko jednemu z napastników. Barwy wracają wraz z mrugnięciem powiek Umy, któremu towarzyszy dźwięk migawki fotograficznej. Te monochromatyczne ujęcia są, więc zamknięte w klamrze oka.

Komicznym motywem jest karykaturalna postać, tchórzliwego właściciela Domu Błękitnych Liści. Przez ludzi Johnego Mo zostaje on nazwany Charlie Brown (Sakichi Sato). Charli jest postacią z animowanego filmu Billa Melendesa *Race for Your Life, Charlie Brown* z 1977 roku. Odtwórca roli gospodarza knajpy jest postacią kultową prawie jak Tarantino. Był on, bowiem scenarzystą w znanym *Ichi the Killer*. To kolejny smaczek i odnośnik do historii kina.

Zabawa kolorem jest dla *Kill billa* cechą bardzo charakterystyczną. W scenie walki na piętrze, kiedy gaśnie światło, ekran wypełnia kolor niebieski. Na tle papierowych ścian, przez które przebija światło, widać tylko kontury postaci. Obraz ten jest znów zabawą kulturą dalekiego wschodu a mianowicie nieodparcie kojarzy nam się teatrem cieni. Mnie osobiście nasunęły się też skojarzenia z czołówką Jamesa Bonda *Golden Eye*, gramii komputerowymi typu *Mortal Kombat* i anime.

Kwintesencją kultury kawaii jest postać siedemnastoletniej morderczyni Go Go Yubari (Chia-ki Kuriyama). Ubrana w szkolny mundurek, nosi przy sobie krótki miecz ozdobiony różowymi koralikami i chichocze jak postać z anime. Jej nieodłącznym atrybutem jest również śmiertelna broń, najeżona kolcami kula na łańcuchu. W motywie jej pojedynku z Czarną Mambą Tarantino wykorzystał formułę sztuk walki, nazywaną przez Chińczyków *wuxia pian*. Uma Thurman wykorzystuje więc do pokonania przeciwnika wszystko, co ma pod ręką, stoły, krzesła, połamane meblom nogi. Piękna, psychopatyczna, perwersyjna Go Go ginie zalewając się krwawymi łzami. Krew na śnieżnobiałej twarzy Yubari jest tylko preludium do sceny finalnej walki O – Ren Ishii zwanej Wężem Błotnym i Czarnej Mamby w zimowym ogrodzie.

Cichy ogród zasypyany śniegiem, spowity błękitnym światłem jest ikoną japońskiego malarstwa.

Podczas starcia tych dwóch kobiet słysząc tylko ich oddechy. Czas odmierza dźwięk przelewającej się wody i stukającego żurawia u studni. Poza tym miejscem nie istnieje nic, widziane z lotu ptaka jest otoczone ciemnością, jak oświetlona punktowcem scena, jak odkryty obszar w grze strategicznej, (którą prowadzi główna bohaterka), jak kadr z klasycznego amerykańskiego komiksu. Walka dwóch herosów, dwóch bogiń samurajskiego miecza. O – Ren wywodząca się z kręgu kulturowego Japonii, w białym kimono, stapiająca się z tłem i amerykańska wojowniczką bez imienia, w zakrwawionym żółtym dresie, nie pasująca do całości obrazu. To wszystko okraszone dodatkowo japońskimi dialogami. W takim właśnie przemyślanym kiczu lubuje się Quentin.

Bohaterowie *Kill Bill* są właściwie pozbawieni głębi. Są ikonami, kalkami, esencją stereotypów i zachowań, postaw postaci znanych z innych filmów. Obraz, który stworzył Tarantino, nie ma nas zmuszać do refleksji nad motywami postępowania głównej bohaterki czy zgłębiania tajemnic jej psychiki. Postacie są schematyczne i takie właśnie mają być, różnorodne, ale stypizowane. Reżyser nie skupia się na fabule, stąd, achronologiczny układ wątków. Film ten jest pozbawiony racjonalności, nie ma w nim organów ścigania, jest ośnieżony ogród na zapleczu knajpki w Tokio, postacie potrafią biegać po ścianach i walczyć jak nieśmiertelni. Dla Tarantina nie logika i nie opowieść są tutaj najważniejsze. Na pierwszym miejscu jest gra z konwencją, z kulturą, formą obrazem, barwą, zabawa z kinematografią, z historią kina, droczenie się z widzami. W trzydziestominutowej sekwencji, zgromadził semiotycznie zwartą i uzasadnioną, nieprzeciętną ilość motywów z dziejów kina. Głównie kina akcji. Film ten wychodzi poza wszelkie ramy gatunkowe kina hollywoodzkiego, nie mieści się w żadnym przedziale. Jedyne miejsce dla niego jest na półce obok pozostałych form Quentina Tarantino, gdzie każde z jego dzieł jest inne i niepowtarzalne.

„Kill Bill”. Vol.1.Reż.: *Quentin Tarantino, scenariusz.: Quentin Tarantino, producent: Lawrence Bender, Quentin Tarantino, zdjęcia: Robert Richardson (I), muzyka: RZA, scenografia: David Wasco, Yohei Taneda. Czas trwania: 111 min. Produkcja: USA, 2003.*



Obecnie żyjemy w czasach, gdzie na każdym niemal kroku spotykamy się z wszechobecnymi wulgaryzmami. Słyszymy je, a także używamy ich w mowie potocznej, coraz częściej padają one z ust bardzo młodych jeszcze osób, budząc powszechne oburzenie. Jednak powoli wulgaryzmy wchodzi na stałe do naszego słownika i trudno się przed tym bronić. Stają się częścią naszej mowy. I tak, jak w życiu codziennym są coraz bardziej obecne, tak też w dziedzinie kultury mamy coraz to więcej okazji usłyszenia tego typu wyrażen. Jedną z dziedzin kultury, do której język wulgaryzmów wkracza coraz śmielej jest współczesny teatr. Dla większości z nas jest to bulwersujące, lecz należy zrozumieć, że teatr, tak jak wszystko, zmienia się. Zmienia się forma, lecz także język. Coraz więcej dramaturgów świadomie decyduje się na zastosowanie wyrażen powszechnie uważanych za niewłaściwe dla tej dziedziny sztuki. Wszystko to ma na celu przybliżenie teatru do widza. Należy bowiem pamiętać, że niewielu jest prawdziwych jego miłośników. Obecność wulgaryzmów powoduje, że na spektakle częściej i chętniej przychodzą ludzie młodzi, którzy słysząc na deskach teatru swój podwórkowy język przekonują się, że teatr to nie tylko skostniała i niereformowalna instytucja, ale miejsce im bliskie i dla nich zrozumiałe. Każda bowiem forma zainteresowania młodego człowieka kulturą jest dobra, nawet jeśli wielu wydaje się kontrowersyjna.

Lecz obecność wulgaryzmów ma także na celu rozbawienie publiczności. Tylko tu należy bardzo uważać, żeby nie przekroczyć cienkiej granicy wyczucia i dobrego smaku. Przesada spowoduje bowiem, że zamiast zachęcić widza do odwiedzania teatru, odepchnie się go jeszcze dalej.

Obecnie coraz częściej różne teatry decydują się na wystawienie spektakli „obarczonych” wulgaryzmami. Najszybciej akceptację znajdują one oczywiście w dużych ośrodkach kulturalnych, takich jak Warszawa czy Kraków, ale coraz więcej scen tak zwanej „prowincji” sięga po ten nie-

co kontrowersyjny repertuar. Jako przykład mogą nam posłużyć teatry naszego województwa. Tutaj coraz częściej i śmielej wystawia się sztuki współczesne, posługujące się także „współczesnym” językiem. Często takim repertuarem zajmują się teatry offowe. Za taki możemy uznać Teatr Gry i Ludzie działający w Katowicach. Tam dwa lata temu wystawiono spektakl pt. *„Niezidentyfikowane szczątki ludzkie i prawdziwa natura miłości”*. Spektakl, który całkowicie odbiega od wyobrażeń o klasycznym teatrze. Mroczna atmosfera współczesnego świata, kilkoro młodych ludzi, podświadomie szukających miłości, lecz wstydzących się do tego przyznać, narkotyki, alkohol, seks i przemoc. To wszystko opatrzone językiem „stosownym” dla tego typu środowiska. Bohaterowie odnoszą się do siebie z oschłością i szorstkością. Ciągłe coś udają, grają. Brak im szczerości w stosunku do innych, ale przede wszystkim wobec samych siebie. Poprzez ostre, wulgarne słownictwo próbują udowodnić, że są lepsi od innych. W ten sposób chcą zyskać autorytet. Lecz jak się potem okazuje, nie jest to dobra metoda na życie... Spektakl ten dzięki zastosowaniu w nim języka ostrego, brutalnego, przybliża nam problemy współczesnych młodych ludzi. Życie bohaterów jest oczywiście przerysowane, jednak zawiera bardzo dużo prawdy o nas samych, a poprzez tak drastyczny momentami język szybciej i łatwiej coś zrozumiemy...

Jednak nie tylko w teatrach offowych znajdziemy takie sztuki. Także wiele znanych teatrów dramatycznych pokusiło się o tego typu repertuar. I tak podobny temat ludzkich problemów zmagania się z życiem i samym sobą znajdujemy w spektaklu pt. *„Odjazd”* wystawianym przez chorzowski Teatr Rozrywki. Ten współczesny dramat, napisany przez Niemca Freda Apke, to kolejne historie ludzi zagubionych we współczesnym świecie. Tu bohaterowie opatrzeni są w gombrowiczowskie gęby, widzimy tłum pozorantów szpanujących kasą, „odpowiednim” słownictwem, zachowaniem

D
E
S
K
I

Nr 0 / 2006
Str. 19 / 46





pozostawiającym wiele do życzenia. W „*Odjeździe*”, podobnie jak w „*Szczątkach...*”, wulgarność spektaklu przejawia się nie tylko w słowach, ale także, a może przede wszystkim, w gestach. W obu sztukach mamy do czynienia z przemocą wobec kobiet jako jedynym dostrzegalnym przez bohaterów sposobem na ukazanie i utrwalenie wizerunku macho.

Jednak najlepszym przykładem sztuki posługującej się językiem wulgaryzmów jest bijący ostatnio rekordy popularności spektakl Andrzeja Saramonowicza pt. „*Testosteron*”. Scenariusz napisany został przez autora dla konkretnych aktorów Teatru Montownia z Warszawy. Jednak niebawmy sukces spektaklu sprawił, że sięgnęły po niego także inne teatry, m.in. Teatr Bagatela z Krakowa a ostatnio także Teatr Polski z Bielska – Białej. Bohaterowie sztuki to siedmiu facetów, którzy siedzą i gadają o kobietach. Całość zamknięta została w historię o weselu, które nie odbyło się, ponieważ narzeczona przed ołtarzem wyznała, że kocha innego. Jak możemy się domyślać, dialogi bohaterów „*Testosteronu*” do najelegantniejszych nie należą. Jest to przecież pełna obscenicznych żartów satyra o biologicznym miejscu samców napędzanych hormonami. Mamy do czynienia z typowymi męskimi rozmowami traktującymi o kobietach i o tym, co z tematem kobiet, według panów, nierozzerwalnie się wiąże, czyli o chemii i biologii miłości. Jednak sposób, w jaki owi mężczyźni przedstawiają kobiety u niejednego widza może budzić oburzenie. Za przykład może posłużyć tu cytat z „*Testosteronu*”: „(...) *Wszystkie one to kurwy. (...) To one nas całe życie opierdalają, że się źle prowadzimy... (...)*”. Tutaj oprócz słów, również obraz może wywoływać efekt zgorzelenia. Jednak, co najdziwniejsze, najgłośniejsze na widowni śmieją się kobiety mimo, że w spektaklu traktuje się je instrumentalnie, niemal jak zabawkę służącą do zaspokajania męskich potrzeb. Czyżby to był dowód, że coraz częściej potrafimy śmiać się z samych siebie i z humorem przyjmować brutalną rzeczywistość, na którą często nie mamy wpływu? Być może jednych to po prostu bawi, ale u większości jest to śmiech przez

łzy. Jeśli tak, to teatr brutalizmu i wulgaryzmu spełnia tu ważną rolę – uświadamia widzowi rzeczywistość, której ten zdaje się często nie zauważać lub nie chce jej zauważyć.

Teatr wulgaryzmów to teatr, nie da się ukryć, kontrowersyjny, budzący skrajne emocje – jedni są nim zachwyceni, inni oburzeni. Ale nie ma się czemu dziwić, gdyż sztuka powinna wzbudzać w nas jakiekolwiek emocje, pozytywne czy też negatywne, ale nie może zostać obojętna, bo wtedy jest ulotna. Zgorzzone czują się zwłaszcza osoby starsze, wychowane na klasycznym teatrze. Na przestrzeni lat obserwujemy coraz to bardziej swobodne podejście do kwestii obecności łaciny podwórkowej w sztuce. Jeszcze w latach dwudziestych ubiegłego stulecia zgorzelenie budziło słowo „merde” („gównno”) zastosowane w sztuce „*Ubu król*” Jarry’ego, które to pod wpływem nacisku oburzonej publiczności zmieniono na „merdre” („grównno”). Jednakże dzisiejsza forma przekazu, często śmiała i prowokacyjna, zdaje się być strzałem w dziesiątkę, jeśli chodzi o zdobywanie nowych widzów zwłaszcza wśród ludzi młodych, otwartych na różne propozycje. Jednak w tym miejscu należy się zastanowić, czy powoli nie zaczynamy popadać w przesadę. Na początku, gdy nieśmiało pojawiały się spektakle, w których od czasu do czasu padało jakieś wulgarne słowo, można było to potraktować jako formę uwspółcześnienia teatru. Dzisiaj natomiast już z pewnym niepokojem obserwuje się fakt, że oczywistym jest operowanie we współczesnych dramatach językiem wulgarnym, pełnym przemocy i brutalizmu. To w niedługim czasie może spowodować irytację i zmęczenie taką formą teatru, gdyż jak mówi przysłowie, co za dużo to nie zdrowo. Musimy pamiętać, że mimo wszystko teatr jest miejscem mającym odchodzić społeczeństwo, a nie dodatkowo utrzymywać w nim przekonanie, że wulgaryzmy nie są niczym złym, bo przecież propagowane są w instytucjach kulturalnych. Powinni o tym pomyśleć przede wszystkim autorzy dramatów oraz dyrektorzy artystyczni teatrów, którzy na co dzień czuwają nad właściwym doborem repertuaru.

ZŁOTY INTERNAT

Tomasz Kostro



Na prowincjonalną szkołę splendor słynąć może różnymi drogami. A to któryś z uczniów zrobi nieoczekiwaną, błyskotliwą karierę i imię szkoły w świecie rozślawi, a to nauczyciel zawód zmieni i trafi na karty historii. Różnie to bywa.

Wertując materiały dotyczące dziejów regionu natknąłem się na ciekawy – mniemam – epizod w dziejach pewnego śląskiego gimnazjum w niewielkim mieście na zupełnych rubieżach ówczesnej Rzeczypospolitej. Historia to mało znana, a być może – poza najbardziej zainteresowanymi czyli ludźmi związanymi z tą właśnie szkołą – nieznana wcale, warta zatem przypomnienia. Z kilku względów. Po pierwsze, jako ciekawostka sama w sobie, po drugie przypomniana doda miastu i szkole powagi, po trzecie, może być przyczynkiem i pretekstem do szerszej dyskusji na temat elitaryzmu. Dyskusji, wydaje się, potrzebnej. Nasz kraj wstrząsany raz po raz dziejowymi kataklizmami ma trwające od dawna kłopoty z własną elitą. Mówiąc inaczej, ma kłopoty z powodu braku elity. Przy każdym dziejowym zakręcie, Polska nie tylko że traciła najwartościowsze jednostki, w sensie jak najbardziej dosłownym, fizycznym, ale też sami sobie robiliśmy krzywdę deprecjonując tych, którzy zostali, często całe warstwy bez oglądania się na subtelności. Chyba nie trzeba przypominać? Mam na myśli nie tylko dziewiętnastowieczne, wyzwolenicze zrywy, nie tylko krwawe wojny i rewolucje minionego wieku, ale też dzieje najnowsze. Czy trzeba temat rozwijać? Myślę, że warto, choć może niech zrobi to ktoś inny i przy innej okazji. Tymczasem wrócę do „swojej” historii.

Żył i działał w latach międzywojennych skromny pedagog, profesor Wacław Iwanowski, przez wychowanków pieszczotliwie zwany „Waciem”, bardzo szanowany i lubiany. Były widocznie ku temu powody, skoro zasłużył sobie na ciepłe wspomnienia ze strony wcale nie łatwych podopiecznych. Wspecjalizował się bowiem w pra-

cy pedagogicznej nad „złotą młodzieżą”. Już w roku 1921 zaangażowany został do tej roli. Ruszył więc w Polskę w poszukiwaniu szkoły odpowiadającej jego koncepcji. Miało to być prowincjonalne, państwowe gimnazjum o możliwie wysokim poziomie nauczania, położone daleko od rodzinnych stron wychowanków. Znalazł je w... Pszczynie.

Ponieważ dopiero od 1922 roku gimnazjum w Pszczynie stało się szkołą polską pod nazwą Państwowe Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, prof. Iwanowski musiał swą ocenę oprzeć na osobowości dyrektora Michała Kosta i tych nauczycieli, których dane mu było poznać. Nie zawiódł się. Po powrocie przedstawił raport swojemu zleceniodawcy, którego zresztą sam namówił na taką formę pracy, i poczynając od 1923 roku zorganizował w Pszczynie internat w domu pani Kowacek. Sprowadził podopiecznych, którzy stali się uczniami szkoły, jedni na całe lat siedem, inni na krócej, wedle wieku i potrzeb. Na podstawie szkolnego raportu opublikowanego w 1930 roku w broszurze pod tytułem „Sprawozdanie gimnazjum za rok szkolny 1929/30” a poprzedzonego obszerną historią szkoły (bogate, wieloletnie tradycje!) pióra zawodowego dziennikarza Franciszka Kulisiewicza, do gimnazjum uczęszczali: (podaję bez tytułów, zgodnie z Konstytucją i duchem przyjętym w szkole i internacie) Eustachy Sapieha, Władysław Zamoyski, Stanisław Radziwiłł, Andrzej Zamoyski, Michał Ostrowski, Stefan Potocki, Leon (Lew) Sapieha, Jan Zamoyski, Andrzej Czetwertyński. Wcześniej, do 1930 roku, szkołę ukończyli: Zygmunt Roger Raczyński, Tomasz Zamoyski, Stefan, Stanisław, Jerzy i Włodzimierz Czetwertyńscy i Edmund Radziwiłł. Uczęszczali także Ferdynand Radziwiłł i Marek Zamoyski.

Czy utrzymanie w ryzach tego towarzystwa było rzeczą łatwą? Wątpię. Aczkolwiek nie przesadzajmy. Znając skądinąd rygory domowego wychowania w owych sferach, było to o wiele

R
E
G
I
O
N
A
L
I
A

Nr 0 / 2006
Str. 21 / 46





prostsze niż, na przykład, opanowanie latorośli późniejszych „elit”. Przeczytajmy, co mówił na ten temat jeden z wychowanków: „Muszę powiedzieć, że w Pszczynie nasze nazwiska wśród ko-

legów i nauczycieli nie miały większego znaczenia. Oczywiście sam internat w pewnym sensie był specjalny, temu nie zaprzeczam, ale pan Iwanowski prowadził go na własny rachunek i przyjmował nie tylko chłopców z wymienionych rodzin, ale także ze znacznie skromniejszych. (...) Miałem wśród kolegów pełny przekrój społeczny. (...) Gimnazjum miało bardzo dobry poziom a i region był ciekawy. Poznałem wcześniej Śląsk, najbardziej uprzemysłowioną część ówczesnej Polski. Poznałem trudne warunki życia i chłopów i górników. Zetknąłem się z folklorem śląskim, zwyczajami tutejszych ludzi, z ich żarliwym przywiązaniem do polskości i szczególnym typem religijności, która wtedy była chyba mniej powierzchowna. Odwiedzałem kolegów w ich mieszkaniach. Kilku moich kolegów szkolnych przyjechało do mnie do Zwierzyńca na przełomie 1939 i 1940 roku w poszukiwaniu schronienia przed represjami niemieckimi na Śląsku. Niektórzy zostali na kilka lat, uzyskując takie czy inne zatrudnienie w Ordynacji. Z tymi właśnie kolegami spotkałem się ponownie z okazji pięćdziesięciolecia naszej matury w roku 1981 w Pszczynie.” (Jan Zamoyski wg. książki Roberta Jarockiego, Ostatni Ordynat).

Cóż to była za szkoła? Było to gimnazjum typu staroklasycznego z następującymi przedmiotami nauczania: religia, język polski, łaciński, grecki, francuski, niemiecki, historia, geografia, matematyka, fizyka, chemia, przyroda, rysunki, śpiew, pismo, gimnastyka, propedeutyka filozofii. Naukę w szkole kończył egzamin maturalny dający podówczas bilet wstępu na większość uniwersytetów Europy i to dobry bilet. A co szkoła miała z takich uczniów? Oczywiście, niewątpliwie splendor, ale nie tylko. Pod koniec lat dwudziestych zbudowano i wyposażano kaplicę szkolną. „Na gwiazdkę w roku 1927 ofiarowała hr. Raczyńska ze Złotego Potoku trzy własnoręcznie haftowane ornaty a był uczeń zakładu Ed-

mund Radziwiłł ośm lichtarzy mosiężnych. (...) Większe ofiary złożyli ks. Janusz Radziwiłł, ks. Czetwertyński, ks. Sapieha, hr. Zamoyski, hr. Ostrowski, hr. Potocki (...) Kaplica ma kompletne sprzęty przedstawiające wartość 12000 zł.” (F. Kulisiewicz, Historia Państwowego Gimnazjum...)

Czas na konkluzję. Jeżeli w ogóle można z tej krótkiej historyjki wyciągnąć jakiekolwiek wnioski, to pewnie będą takie: poziom państwowego szkolnictwa osiemdziesiąt lat temu był wysoki i skutecznie kuśił elitarne sfery. Czas prywatnych guwernerów już się kończył, a oni sami namawiali swych pracodawców do głębokiej demokratyzacji wychowania. O skutkach takiego podejścia trudno pisać bez daleko idących uogólnień, bo o dalszych losach absolwentów pszczyńskiego gimnazjum mamy wrywkowe jedynie dane, ale nawet na tej podstawie można stwierdzić, że nauka w las nie poszła. Kieszonkowe uczniów (o czym wspominają z rozrzewnieniem) starczało ledwie na trzecią klasę w czasie wycieczek i o żadnych ekstrawagancjach nie mogło być nawet mowy. Siedmioletni pobyt w Pszczynie to – poza wakacjami – tylko świąteczne wyjazdy do rodzinnych domów. Prezent dla profesora Wacia (składkowy), o czym wspomina Jan Zamoyski, mógł być wręczony dopiero po maturze.

Na koniec warto przytoczyć, jak w oczach ówczesnego ucznia pszczyńskiego gimnazjum wyglądały Katowice. (Kilka wcześniejszych lat uczeń spędził w Paryżu i okolicy. Ojciec Jana, Maurycy Zamoyski był posłem Polski we Francji, później ministrem spraw zagranicznych). „[Katowice] były brzydkim, ruchliwym miastem o największej chyba wtedy pośród polskich miast liczbie samochodów. Nadal jednak istniał ruch konny (...). Ślady niemieczyny były widoczne. Niekiedy przejawiało się to w sposób pośredni i dość zabawnie. Otóż będąc z kolegą pierwszy czy drugi raz w operze mieszczańskiej w gmachu dzisiejszego Teatru im. S. Wyspiańskiego zauważyłem naprzeciwko szyld z nazwiskiem właściciela sklepu:... Alfons Duppa. Zastanawialiśmy się, dlaczego przez dwa „p”. Ano, chyba dlatego – śmiał się kolega – żeby była większa.”

PŁONĄCY ŚLĄSK

czyli o procesach czarownic

Małgorzata Stępień



Historia Europy jest historią ludzkiego szaleństwa, nietolerancji i cierpienia, zaś procesy o czary są istotną częścią tejże historii. Jest to niestety wątek dość często pomijany z uwagi na swą wstydliwą tematykę, gdyż temat godzi bezpośrednio w mit świętości i wielkoduszności religii chrześcijańskiej oraz kościoła. Na całe szczęście ten ciekawy i obszerny kawałek historii coraz częściej bywa poruszany, badacze otwierają „skrzypowane usta źródeł”, w których jęki maltretowanych ofiar przeplatają się z pobożnymi modlitwami ich oprawców.

Szaleństwo wiary i szaleństwo prześladowań domniemanych, „wspólników diabła” to historia długiego trwania, począwszy od średniowiecznych

procesów o herezję, stosy płonęły w całej niemalże Europie aż do połowy XVIII wieku. Największy jednak fanatyzm, zabobonność i okrucieństwo zarówno duchownych jak i świeckich oprawców obrazują procesy czarownic odbywające się w XV do XVII wieku.

Momentem zwrotnym w historii procesów o czary, stała się wydana w 1484 roku przez papieża Innocentego VIII bulla *Summis desiderantes affectibus*, która ugruntowała całą dotychczasową wiarę na temat „złych ludzi” szkodzących, „sprawiedliwym” tj. biednym chrześcijanom. Dodatkowo wykreowała ona pogląd, iż owi, „źli ludzie” zrzeszeni są w tajemnej, „sekcje czarownic”, której celem jest służenie diabłu i szkodenie kościołowi oraz jego wiernym owieczkom. Autorytet papieski dał kolejno pole do popisu inkwizytorom oraz pisarzom duchownym i świeckim. Najgłośniejszym, „dziełem”- kompendium wiedzy o groźnej sekcje czarownic stał się *Młot na czarownice*, wydany drukiem w 1486 roku w Koloni przez dwóch niemieckich inkwizytorów dominikańskich Henryka Kramera (Institoris) i Jakuba Sprengera. Dołączenie do niego bulli papieskiej, jako przedmowy, spowodowało że wielu późniejszych pisarzy opierało na tym wzorcowym dziele swoje racje, których nic nie było w stanie obalić czy choćby podważyć. *Młot na czarownice* doczekał się wielu wydań i wznowień, przetłumaczony został również na wiele języków, m.in. także na język polski. Autorem tego przekładu był Stanisław Żąbkowicz, ponoć zdolny prawnik i uczony. Polski przekład *Młota na czarownice* wydany został w 1614 roku w Krakowie. Jest to podręcznik składający się z trzech części, mówiący jak należy rozpoznawać domniemane czarownice, jak się przed nimi bronić oraz jak przykładowie je karać.

Fala obłędu i nietolerancji dotarła również do Polski, z pewnym co prawda opóźnieniem, ale nie oznacza to wcale że z mniejszym okrucieństwem niż na zachodzie Europy. W Polsce procesy czarownic trwają od XVI do II poł. XVIII wieku, ale największe ich nasilenie przypada na XVII wiek. Cała „moda” na poszukiwania i prześladowania domniemanych czarownic dotarła na ziemię polskie z zachodu kontynentu, a dokładniej z Niemiec. Tym samym ziemię śląską ucierpiała z tego po-

R
E
G
I
O
N
A
L
I
A

Nr 0 / 2006
Str. 23 / 46

W
M
I
N
S



REGIO- NALIA

Nr 0 / 2006
Str. 24 / 46



wodu najdotkliwiej. Poza Śląskiem znaczna część procesów odbyła się na ziemiach Wielkopolski oraz Pomorza zachodniego. Podczas gdy na zachodzie kraju stosy już dogasały, na wschodzie

dopiero je podpalano, nieliczne procesy odbyły się na ziemiach Małopolski i ziemiach wschodnich. Ze źródeł historycznych oraz relacji badaczy niemieckich wnioskować można, że ówczesny Śląsk również był jednym z wielu punktów na mapie płonącej Europy, gdzie procesy czarownic zebrały największe żniwo w tępieniu „wspólniczek szatana”. Diabeł szczególnie upodobał sobie te właśnie ziemie w poszukiwaniu swych czcicieli. Za sprawą przejścia ziem śląskich przez dynastię Habsburgów, wpływy niemieckie jeszcze mocniej odcisnęły piętno na tych terenach. Ciągła walka reformacji z katolickim obozem Habsburgów oraz znaczne zubożenie kraju po trwającej 30 lat wojnie nie przeszły bez echa w śląskich miastach oraz wsiach. Duchowni jezuici za wszystkie klęski wojenne, głód oraz szerzące się epidemie chorób obwiniali ową groźną sektę czarownic, opisaną przez sławetny *Młot na czarownice*. Zły diabeł przy pomocy swoich wspólniczek, wiedząc rozszerzające się wpływy kościoła w ten właśnie okrutny sposób chciał zemścić się na bogobojnych. Należało zatem zniszczyć zło w samym zarodku i wszczać poszukiwania niewiernych co sprzymierzyli się z mocami piekła, aby zniszczony diabelskim działaniem kraj mógł podnieść się wreszcie z ruiny. Zabobonny lud od razu zaczął wspomagać swych duchownych przewodników w walce z szerzącym się złem i tak oto machina procesów ruszyła pełną parą, pochłaniając w swych płomienia niewinne ofiary ciemnoty, fanatyzmu oraz nietolerancji. Czasy polskiego baroku a także ogólny upadek kultury dodatkowo pogłębiły jeszcze wzmagające na sile prześladowania, które największy rozkwit przeżyły na ziemiach śląskich właśnie w XVII wieku.

Podejrzaną o czary oraz służbę demonom mogła być każda kobieta, bo jak pisze autor podręcznika dla spowiedników z XIII wieku (znanego też pod nazwą Katalogu Magii mnicha Rudolfa z Rud Raciborskich): „Już Ewa, pierwsza matka, przekazała zarazek bałwochwalstwa, wsączony jej przez diabła pod postacią węża, swoim córkom, to znaczy głupim kobietom, które chcą wiedzieć więcej, niż przystoi”. Kobieta zatem, wedle tych jakże, „uczonych” wywodów, bo opartych na autorytecie biblijnym, już z samej swej natury skażona jest złem. Zbyt ładna, za mądra, młoda, stara, bied-

na i ta której nieco lepiej się powodziło, zielarka, kucharka, znachorka, położna, żebraczka czy prostytutka-wszystkie były podejrzane i nie mogły być wolne od zarzutów, że są czarownicami. Jedynie kobiety z bogatych i wpływowych wyższych sfer, jak również przedstawicielki mieszczaństwa miały prawo do odwołania się od zarzucanych im czarowniczych poczynań, oskarżenia takie zdarzały się jednak bardzo rzadko i zwykle kończyły się umorzeniem całej sprawy. Ofiarami stosów były najczęściej kobiety z niższych warstw społecznych, biedoty miejskiej i wiejskiej, zazwyczaj w podeszłym już wieku, a także osoby chore psychicznie oraz prostytutki. Jeśli raz dostały się w szaleńczą procedurę sądową, nigdy już nie mogły być wolne od zarzutów, nie miały prawa odwoływać się od wyroku.

Dość ciekawy przypadek ilustruje protokół nr. 15 zwarty w *Extractus Protocolli Judicij Grunbergensis ex actis Inquisitionibus et Processu criminali contra Maleficas de annis 1663, 1664, 1665* (*Księżde wyciągów z protokołów sądu zielonogórskiego i akt inkwizycyjnych procesów kryminalnych przeciwko czarownicom w latach 1663, 1664, 1665*). Księgę wyciągów można obejrzeć w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, jest to dość obszerne źródło napisane w języku niemieckim. Wspomniany wyżej protokół nr. 15 informuje o aresztowaniu 29 listopada 1663 roku Anny Stach i Urszuli Gutsche, która po przebytych kilkakrotnie torturach powołują następne kobiety Elżbietę Grasse, Dorotę Jeuthe i Elżbietę Apelt, są to jednak, „żony poważnych i szanowanych obywateli Zielonej Góry...”. Jest to zatem przypadek dość wyjątkowy, istotne jest również to, że aby tylko uwolnić powołane kobiety od stosu ich mężowie poruszają wszelkie możliwe znajomości i wpływy. Kierują pismo do sądu zielonogórskiego o przyznanie im adwokatów, sąd z kolei w tej kłopotliwej sytuacji skierował sprawę do swych doradców w Lwówku Śląskim. Sędziowie z Lwówka tak oto odpowiedzieli swoim kolegom Zielonej Góry: „W związku z waszą obywatelką Elżbietą Cruciger (nazwisko panięńskie oskarżonej), która w 30 listopada ubiegłego roku przez dwie różne osoby, Annę Stach i Urszulę Gutsche, jako czarownica była powołana i że ją dość dawno temu widywały na Łysej Górze, należy ją dokładnie zbadać przy użyciu tortur. O wypuszczeniu nie może być mowy. Wobec tego, że jest oskarżona przez dwie osoby, należy ją wziąć na tortury” (Protokół nr. 34) Nie trudno domyśleć się jaki był dalszy los oskarżo-



ných kobiet. Początkowo wszystkie trzy zaprzę-
czyły zarzucanym im czynom, kiedy jednak sąd
zastosował kilkakrotnie tortury, załamane psychicz-
nie i z maltretowane przyznały się do wszystkich,
nawet najbardziej absurdalnych zarzutów. Tortury
zwane ówczesnie, „badaniami” powodowały nie
tylko przyznanie się do winy, ale także powoły-
wanie kolejnych podejrzanych, te zaś powoływa-
ły następne i tak mechanizm procesów nakręcał się
sam. Sędziowie poparci uczonymi w piśmie du-
chownymi szczególnie dbali o to, aby krąg współ-
niczek szatana coraz bardziej się poszerzał, aby
ilość kolejnych powołanych sprawiła ich całkowi-
te wytepienie. Nie mogli przecież, „sprawiedliwi”
doprowadzić do momentu, w którym diabeł i jego
czarownice zatriumfowały na ziemi śląskiej,
krzywdząc tym samym kościół i jego wiernych
wyznawców. Za sprawą stosowania tortur i wymu-
szania zeznań oprawcy dostawali wszystkie szcze-
gółowe informacje od swych ofiar, dzięki którym
mogli spokojnie wykonywać swoje płonące wy-
roki. Dla przykładu zacytuję tu fragment z Proto-
kołu nr. 14, Anna Stach, zwana krupiarką, przy-
znała się, że była czarownicą, miała z diabłem
układ, była z nim na Łysej Górze, przez jej czary
ucierpiało zboże, więc zgodnie z prawem ma być
na stosie publicznie na placu kaźni przez ogień spa-
lona. Urszula Magnus, przez dwie czarownice
o czary obwiniona, ma być poddana surowemu
badaniu i torturom pierwszego stopnia. Maria
Wojten, Anna Werner, Urszula Gutsche i Anna
Hasucka na początek mają być sznurami skrępo-
wane, potem mają im być palce ściskane, jeśli nie
będą mówić, to zastosować hiszpańskie buty” Na-
leży przy tym dodać, że pierwsze procesy o czary
w Zielonej Górze zaczęły się znacznie wcześniej,
bo już z roku 1640 pochodzą pierwsze zachowane
do naszych czasów wzmianki. W tym też roku,
spalono cztery kobiety, mianowicie: „żonę wach-
mistrza, markietankę i żony dwóch prostych żoł-
nierzy”. W 1652 roku Urszula, żona chłopca z Łu-
życ, składa zeznania na Katarzynę Funck, która jej
krowom mleko odbierała a potem rzuciła urok od
którego zwierzęta te padły, na podstawie tych ze-
znań w 1654 roku, 84 letnią Funck spalono na sto-
sie jako czarownicę. Ważnie między sąsiadami,
potyczki rodzinne, na tle wyznaniowy oraz bunty
chłopów przeciw panom feudalnym bardzo często
kończyły się na stosie, nie trudno było kogoś usu-

nać, wystarczyło złożyć donos na deli-
kwenta, a uczeni w prawie sędziowie i ja-
śnie oświeceni w Bogu duchowni oczysz-
czali sługę diabła z płomieniach stosu. Masowe
procesy czarownic w Zielonej Górze zaczynają się
wraz z rokiem 1663 i trwają do roku 1665, są to
lata z których protokoły zawiera wspomniany prze-
ze mnie *Ekstractus*, w niecałe trzy lata stosy po-
chłonęły 23 kobiety posądzone o praktykowanie
czarów oraz kontakt z diabłem. Na Dolnym Ślą-
sku procesy o czary odbywały się obok Zielonej
Góry także we Wrocławiu, w 1659 oraz w 1664
roku odbywały się tu jedne z największych prze-
śladowań ze stosom w tle.

Górny Śląsk niestety także ucierpiał z powo-
du obłędnego zabobonu, jakim była wiara w cza-
rownice i ich diabelskie poczynania. Na Górnym
Śląsku miastem, które wiodło prym w tępieniu nie-
winnie posądzonych kobiet, była Nysa. Miasto
w rękach arcykatolickiej monarchii Habsburgów
wraz z istniejącym tam kolegium i gimnazjum je-
zuickim, stało się za sprawą tych, „dobrych katoli-
ków” miastem stosów. Szacuje się, że w samym
tylko roku 1651 w Nysie, jak i w pobliskich mia-
stach oraz wsiach, spalono na stosie ok. 200 ko-
biet. Badacze wskazują, że w ciągu kilku lat doli-
czono się w Złatych Horach 85, we Frywałdowie
(dzisiejszy Jesenik) 102, w Głucholazach 22,
w Nysie 11 ofiar zabobonu. Były to głównie ko-
biety, ale protokoły wspominają również o męż-
czyznach i dzieciach, należących do, „groźnej cza-
rowniczej sekty”. Wierzono bowiem, że rodzice
przekazują czarownictwo swym pociechom, aby
i te mogły kontynuować tajny diabelski czyn, ma-
jący na celu zniszczenia kościoła chrześcijańskie-
go. Tak więc wedle uczonych przepisów prawa
kościelnego i świeckiego, dzieci czarownic rów-
nież są czarownicami, a tym również, jak ich mat-
kom należy się kara śmierci w płomieniach. Pro-
boszcz nyski, Jan Feliks Padewitz, w swej *Histo-
rii kościoła św. Jakuba*, napisanej w 1698 roku
wspomina, że ofiary palono w specjalnie do tego
wybudowanym piecu w pobliżu gmachu sądowe-
go. Będąc w nyskim muzeum miałam okazję wi-
dzieć tzw. miecz czarownic, którym prawdopodob-
nie kat najpierw ścinał im głowy, a następnie wkła-
dał ciała do owego pieca. Ciekawe światło na ów-
czesne procesy czarownic, rzuca ich kwestia finan-
sowa. Według oryginalnego rachunku Rady Miejs-



skiej w Złanych Horach, spalenie 11 domniemyanych czarownic w dniu 20 października 1639 roku przyniosło łącznie dochód 425 talarów. Każdorazowa konfiskata majątku oskarżonej osoby, była łatwym pieniądzem dla wszystkich oprawców: burmistrza, rady miejskiej, wójta, sędziów, pisarza miejskiego, kata, a także biskupa wrocławskiego jako pana księstwa. Mimo, iż bardzo rzadko udawało się wysłać na stos kobietę wyższego stanu społecznego, to jednak takie próby również miały miejsce, ponieważ majątki ofiar często kusiły sprawujących całe postępowanie sądowe. W przypadku biedoty, która niejednokrotnie nie posiadała żadnego majątku i która najczęściej była ofiarą zabobonu, stosy płonęły dla przykładu i ku przestrodze wszystkich niewiernych, jako symbol walki oraz zwycięstwa z księciem ciemności i jego współpracownikami. Kolejnym górnośląskim miastem, przodującym w zawziętej walce ze złem był Racibórz. W dniu 21 maja 1663 roku, osadzono w więzieniu pierwszą z pojmanych kobiet, o której mówi źródła. Po zastosowaniu dwukrotnych tortur, kobieta powołała kolejne ofiary, koniec tej sprawy zakończył się zapewne na stosie. W cztery lata po tych procesach, miały miejsce kolejne egzekucje, trwające od 15 sierpnia do 12 września 1667 roku. Kobiety przyznały się do uczestnictwa w sabatach na Łysej Górze, szkodzeniu ludziom i zwierzętom, jak również wytwarzaniu czarodziejskiej maści, dzięki której mogły latać na owe diabelskie bankiety. Jak widać, zarzuty były bardzo poważne, dla ówczesnych sędziów. Bytom także nie oparł się wysyłaniu niewinnych ludzi na stos, informują nas o tym dwa ocalałe do naszych czasów dokumenty z procesów, które odbyły się w 1653 i w 1666 roku, znajdujące się obecnie w Archiwum Państwowym w Katowicach. Tu także koszty procesu, pokryto z konfiskaty majątku oskarżonych, a którego dalszą część zapewne otrzymali sędziowie i inni, których celem było uśmiercenie następnej ofiary przesądu i ciemnoty. W Gliwicach odnotowano cztery wielkie procesy w ciągu ok. 20 lat, należy pamiętać, że raz rozpoczęty proces nie kończył się szybko, wraz z uśmierceniem pierwszej oskarżonej. Celem sędziów było uzyskanie jak największej wymuszonych torturami informacji o innych czarownicach i ich diabelskiej działalności. Tortury, podobnie jak i procesy trwały dopóki, dopóty nie zostały wyteplone wszystkie wiedźmy w okolicy, takie działania doprowadzały bardzo często do prawie całkowitego wyludnienia wsi bądź miasteczka.

Na ziemiach Zagłębia, procesy o czary również miały swe miejsce, niestety z braku dostatecznych źródeł trudno pisać o jakiś szczegółach tych wydarzeń. Jedynym śladem jest dokument, będący wyciągiem z ksiąg burmistrzowskich miasta Czeladzi z roku 1741, dotyczący sprawy Katarzyny Włodyczko, która została ścięta jako czarownica za odprawianie gusel i czarów. Istotnym, jest tu fakt ścięcia tejże kobiety a nie spalenia jej na stosie, jak zwykle czyniono z domniemyanymi czarownicami. Na podstawie treści źródła, wnioskować można, że owa kobieta, jako siostra rajcy miejskiego doznała aktu łaski poprzez ścięcie a nie spalenie żywcem na stosie. Istotą tego procesu, były zatargi wewnątrz rodziny, o czym pisze komisarz biskupi. Włodyczko została niesłusznie oskarżona i stracona jako czarownica z rąk własnego brata, który chcąc pozbyć się przeszkadzającej mu siostry, zgotował jej śmierć przy współpracy z burmistrzem oraz landwójtem, za co wszyscy dostali karę w postaci grzywnien oraz paru miesięcy więzienia. Prawdopodobnie również Będzin, będący miastem o dość długiej i barwnej historii, nie oparł się szaleńczym tropieniom czarownic, niestety nie ma na ten temat żadnych ocalałych do naszych czasów źródeł. Ostatni wielki proces czarownic w Polsce miał miejsce w Doruchowie na terenie Wielkopolski w 1775 roku, zginęło w nim 13 kobiet posądzonych o czary. W rok po tej tragedii Sejm Rzeczypospolitej wydał uchwałę *Volumina Legum*, w której zakazał stosowania kar na domniemyanych czarownicach, zniósł także procesy o czary i stosowanie tortur. XVIII wiek i jego oświeceniowe idee wprowadziły nieco rozsądku w umysłowość tamtych czasów, nie oznacza to jednak, że w zacofanych polskich wioskach nie dochodziło w dalszym ciągu do samosądów, w których życie traciły ofiary uczonego kiedyś zabobonu.

O ilu sprawach nigdy się już nie dowiemy, ile cennych źródeł zostało utraconych w mrokach dziejów, a które zapewne odsłoniłyby kulisy tych wstydlivych dla chrześcijańskiej Europy wydarzeń? To co pozostało, o czym możemy przeczytać, to tylko kropla w morzu., Wszystkie te fakty i przykłady stanowią małą kroplę w potopie szaleństwa, jaki zalał Europę na kilka stuleci, kiedy w okrutny sposób mordowano ludzi mówiąc im, że czyni się to w imię Boga, miłości i zbawienia. Kiedy rozmodleni oprawcy nazywali swe ofiary synami i córkami, woda święcona mieszała się z krwią a zapach kadzideł czuć było palonym ludzkim ciałem.

W S U B I E K T Y W I E K U B U S I A

czyli kondycja kultury i sztuki w Zagłębiu i na Śląsku

Jakub Ziobroń



Zasiadłem do komputera, popatrzyłem na monitor i zacząłem się zastanawiać co by tu napisać. Taki już los piszących do gazety, że dostają tytuł i mają coś z nim zrobić. A tytuł nadawałby się na pracę doktorską i też by brakło miejsca. Ograniczony powierzchnią (i cierpliwością czytającego) muszę się sam ograniczać. Usłyszałem kiedyś taką myśl, że ludzi można podzielić na cztery grupy. Pierwsi to tacy co wymyślają nowe i tworzą. Jest ich niewielu. Większą, ale też niezbyt liczną, tworzą ci, którzy wiedzą mniej więcej o co chodzi tym pierwszym. Potem są nierozumiejący samej idei ale generalnie chcący iść w wyznaczonym kierunku. A na końcu, najliczniejsza grupa tych, którzy nic nie kumają, i mają to, jak to się ładnie kiedyś mówiło – tam gdzie słońce nie dochodzi.

Mógłbym teraz napisać, że mniej więcej odwzorowuje to kondycję kultury i sztuki w Zagłębiu i na Śląsku. Do widzenia państwu.

Warto jednak powiedzieć o jakiś konkretach. Posłużę się przykładem. Gwoli ścisłości trzema. Pod koniec poprzedniego roku swoje podwoje otwarło znowu Rialto, już nie jako zwykłe kino, ale kinoteatr. Pomysł przedni z rozmachem wcielony w życie. Obecnie, gdy klasyczna sala kinowa przegrywa z molochem multipleksów, można się poddać albo wziąć w garść. Stary-nowy budynek po generalnym remoncie, przyjmuje na swoje łono, to wszystko co aspiruje do miana kultury wysokiej.

Trochę to moim zdaniem niezbyt szczęśliwie określenie w dzisiejszych czasach. Kłopot z nim mają także ludzie kierujący Rialtem. Zderzenia poważnych konferencji z koncertami ska to znak pewnych problemów z tożsamością, która pewnie przyprawia o ból głowy dyrekcję. Ale to także sygnał, że **Kinoteatr Rialto** nadal jest w fazie poszukiwań.

Ważna to informacja bo świadczy o odchodzeniu skompromitowanego sposobu myślenia o kulturze. Na szczęście dla nas schemat działania instytucji, która pojawia się ze sztywno narzuconymi principiami odchodzi na naszych oczach w niebyt.

Zamiast tego otrzymujemy coś, co z jednej strony stara się oprzeć zalewającej nas zewsząd papce. Z drugiej wysyła ciągle sygnały mające wy-

badać co może się spodobać tym, którzy za takim homogenizowanym kleikiem nie przepadają. To dobrze wróży na przyszłość.

Drugą stroną takich zderzeń i poszukiwań jest przynajmniej minimalne uchylenie drzwi dla tych wszystkich, którym jeszcze brakuje obycia z poważnie pojmowaną sztuką. Pewnie większość ucieknie na widok, niestety, ogólnie panującego nadęcia. Ale część, choćby niewielka, zostanie, wprowadzi świeży powiew do dawno nie wietrzonych pomieszczeń kultury „wysokiej”. To jedyny ratunek dla tych wszystkich patrzących z boku na koła i kółka wzajemnej adoracji i arogancji.

Z innej beczki. Po przeciwnej stronie swoje stanowisko zajęli miejscy partyzanci. Grupa pozwoli rozwija skrzydła, Jeżeli mają jakąś siedzibę to jest ona tajna, atakuje znienacka. **Partyzantz** to niepoważne spojrzenie na życie w mieście, organizowane w całkiem poważny sposób. Proponują zabawę dla tych wszystkich, którzy mają chociaż trochę energii i chęć aby wyjść z domu i uczestniczyć w czymś niecodziennym. Gdziekolwiek będziesz w mieście, w każdej chwili może dotrzeć do ciebie informacja, że coś zaraz się stanie. Możesz wziąć udział, albo tylko patrzeć.

Trochę to enigmatycznie brzmi, ciężko oddać ich pomysły w kilku słowach. Gdzieś pomiędzy flash mobem, happeningiem a LARP-em, żeby poznać co to znaczy trzeba po prostu zagrać. Szare miasto to stereotyp i nie zawsze tak musi być. Wiosnę można przecież powitać i pod estakadą w Katowicach.

Gdzie ich można znaleźć? Trochę informacji jest na ich stronie, czasami wykorzystują okazje takie jak ostatnia Manifa, aby zaistnieć. Pojawiają się też przy klubowych imprezach. Rozrastają się w dodatkowe projekty jak chociażby nowy superbohater – Metan. W żółto-czarnym stroju z literą M, jeździ po mieście tramwajem wprowadzając ład i porządek.

Na koniec zostawiłem sobie **Grupę Katowickie Wieżowce**. Być może, niewiele mają wspólnego z kulturą w jej potocznym znaczeniu. Piszę o nich dlatego, że ich działalność nie ogranicza się tylko do pisanie o tym co jest złe i jakby to mogło być dobrze. Starają się swoje propozycje dotyczące rozwoju Katowic wcielić w życie. Rozmawia-

S
U
B
I
E
K
T
Y
W
I
E

Nr 0 / 2006
Str. 27 / 46





ją, dyskutują, ale także próbują coś zmienić.

To zainteresowanie miastem, jest o tyle istotne, że przecież cały teren Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego jest wielką aglomeracją, zbiorem mniejszych i większych miast, z których niemalże każde potrzebuje kogoś kto o nie zadba. Pokaże co można zmienić i spróbuje to potem zrobić. Dziś to są Katowice, jutro kto wie? Sosnowiec, Bytom, Dąbrowa?

Gdy istnieją takie jednostki, które starają się wyrwać z panującego marazmu, mają pomysły, które wcielają w życie, tam zaczyna się coś dziać.

Najpierw powoli, potem szybciej, bowiem pełniąc rolę katalizatora, skłaniają do działania tych którzy „chcieliby ale boją się”. Początki są trudne, niektóre z inicjatyw nikną po zderzeniu z brutalną rzeczywistością. Ale niektóre pozostają i rozwijają się dalej. Podałem te trzy przykłady, ale nie chciałbym, aby ktoś odniósł wrażenie, że na tym kończy się życie kulturalne Śląska i Zagłębia. Działają prężnie instytucje z „tradycjami” i pojawiają się coraz to nowsze pomysły. To już nie jest leniwe budzenie się ze snu. To znak, iż potencjał mieszkańców GOP-u jest ogromny i żywiołowo znajduje coraz to nowsze sposoby wyrazu.

<http://www.rialto.katowice.pl/> – Kinoteatr Rialto

<http://www.partyzantz.com/> – miejscy Partyzanci

<http://www.gkw.katowice.pl/> – Grupa Katowickie Wieżowce



TW@R

CYGAN - SKIE PEREGRYNACJE

Dorota Nowacka



Przyznaję, że do twórczości Jacka Cygana – poety podeszłam sceptycznie. Jednakże wiersze zawarte w tomiku zatytułowanym *Ambulanza* przemawiają same za siebie, nie pozostawiając wątpliwości, co do poetyckiego talentu tego znanego i lubianego tekściarza.

Jak wskazuje podtytuł zbioru (*Wiersze śródziemnomorskie*), bohater liryczny większości utworów jest turystą, przemierzającym okolice Morza Śródziemnego. Napotkani ludzie, zwiedzane okolice, zabytki oraz kontemplowane dzieła sztuki – mniej lub bardziej znane bywalcom Włoch czy Francji – owocują bogactwem spostrzeżeń i przemyśleń, zwykle jednak bliższych doświadczaniu życia niż mijanym atrakcjom turystycznym. Bywa więc wesoło, ale i wyjątkowo poważnie; podniosłe – gdzie indziej znów dowcipnie, a nawet frywolnie. Świat wnikliwie obserwowany przez turystę – wytrawnego znawcę i miłośnika sztuki – nierzadko zachwyca, lecz również – być może częściej – boleśnie rozczarowuje.

Uwagę zwraca reporterskość tomiku. Objawia się ona pedantyczną wręcz dbałością o daty, miejscowości, nazwiska oraz inne istotne szczegóły związane z odwiedzanymi miejscami. Na szczęście nie przekłada się to na przeładowanie wierszy zbędnymi detalami, a jedynie pobudza czytelniczą wyobraźnię. Nietrudno wysnuć wniosek, że tak gorliwe wypełnianie kronikarskich obowiązków wprowadza do zbioru silny rys autobiograficzny.

Punktów wspólnych pomiędzy Jackiem Cyganem – autorem a bohaterem jego wierszy jest zresztą więcej. Chociażby fakt, że będąc czy to w podróży, czy też w kraju (bywa bowiem i tu), podmiot wypowiadający niezmiennie patrzy na świat oczami jednostki dojrzałej. Zapewne z owej dojrzałości biorą się rozsiane w wierszach refleksje o przemijaniu, powolnym, biologicznym starzeniu się, a nawet o śmierci (wszak motyw cmentarza w *Ambulanzie* wcale nie należy do rzadkości), która na razie jeszcze dotyka „tylko” bliższych lub dalszych znajomych. Przeciwwagą dla smutków bywa natomiast... dobre wino, którego „magiczna” moc jest nie do przecenienia.

Zdarza się, że autor pozwala sobie na odrobinę „prywatny”. Niestety: Cygan – poeta siłający się na liryczność, tudzież porzucający powaby świata zewnętrznego, by ruszyć w wędrówkę ku swojemu wnętrzu, jest moim zdaniem najslabszy. Tak jakby swoje najgłębsze emocje artykułował on na słabo słyszalnych falach, raz po raz angażując do tego motyw snu, z dala od oczekiwania czytelnika, którego zdążył przyzwyczaić do postawy bystrego obserwatora. Wówczas gubi gdzieś właściwą sobie odkrywczność, genialną spostrzegawczość, przestaje zaskakiwać skojarzeniami – a to przecież największe atuty jego poezjowania.

Wiersze Jacka Cygana wyraźnie wpisują się w nurt poezji klasycyzującej. Patronat nad nimi zdaje się sprawować twórczość Zbigniewa Herberta. Czytelnik szóstym zmysłem wyczuwa bowiem duchową obecność tego wielkiego poety kultury (zresztą nazwisko to pada nawet w jednym z utworów). Autor tomiku daje wyraz swej erudycji i obyciu w świecie, lecz chętnie dzieli się swą wiedzą i doświadczeniem z odbiorcą. Podmiot mówiący to najczęściej obywatel Europy spisujący kronikę podróży do miejsc, których sięgają korzenie kultury europejskiej. To również chrześcijanin, którego refleksje z europejskiej wycieczki zdecydowanie umacniają w wierze.

Bez wątpienia teksty wymagają skupienia i uważnej lektury, za co natychmiast odwzajemniają się przystępnością, wynikającą głównie z „przezroczystości” niestawiającego oporu języka. Ale i pod względem językowym zdarza się poecie zadziwiać niebanalnością ujęć i sformułowań: *papier milimetrowy warszawskich Powązek* i *strome kieliszki* – oto najlepsze tego przykłady.

Chociaż w utworach na ogół „dużo się dzieje”, z owego dynamizmu emanuje dziwny spokój i pogoda ducha. *Boże, jak jest pięknie!* – puentuje podmiot mówiący w wierszu zamykającym *Ambulanę* – tomik o intensywnej penetracji świata i autentycznej nim fascynacji.

Jacek Cygan, *Ambulanza, Wiersze śródziemnomorskie*, Bonobo, Warszawa 2005

L
I
T
E
R
A
T
Y
K
A

Nr 0 / 2006
Str. 29 / 46





ŻYCIE JAKO GRA ESTETYCZNA

Estetyka kampu w programie telewizyjnym „Szymon Majewski Show”

Karolina Siemiacka

ARTYKUL

Nr 0 / 2006
Str. 30 / 46



We współczesnym świecie zatarła się granica między rzeczywistością medialną, tą żyjącą w telewizji i kolorowych czasopismach a tą drugą. I tu już pojawił się problem w nazwaniu tej rzeczywistości, stąd jej określenie „druga”. Dzieje się tak, ponieważ patrząc na nią przez pryzmat zatarcia granicy, nie można określić jej mianem prawdziwej lub światem nieprzedstawionym, niefikcyjnym z tego powodu, że to już nie jest pewne. Na przykład podmiot czytający książkę przeżywa świat fikcyjny, a gdy ją odkłada znajduje się w swoim, prawdziwym świecie. Natomiast, jeżeli zacząłby żyć w identyczny sposób jak bohater tej książki, nie wiedziałby gdzie leży prawdziwa rzeczywistość. Taki problem pojawił się w dzisiejszych czasach. Styl życia bohaterów telewizyjnych i prasowych, reklamowany w zastrzonych kolorach, podreperowany programami komputerowymi i podany przez grupy młodych specjalistów-wizażystów, znających psychologiczne mechanizmy sprzedaży, wtargnął do świata ludzi i niszczy jego naturalność. Świat wyidealizowanych Postaci wkracza w świat Ludzi, którzy w większości nie zauważają owej inwazji, godząc się na nowy styl. Być może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że ów styl nie jest do końca możliwy w realizacji. Jak na przykład uwierzyć, że w kukurydzianych płatkach, gwarantujących szczęśliwy dzień, odnajdzie się sad babuni z nią samą radośnie machającą, że ciało może zachować wieczną młodość, włosy brylantowy blask, jogurt zapewni zdrowie, proszek usunie wszystkie plamy, samochód zastąpi męża a koty najlepiej wiedzą czego chcą. Wszystko jest tanie, skuteczne, pachnące, błyszczące, ulepszone, mniejsze, nowsze, szybsze itd. W tym świecie nie ma pomyłek i szarego koloru.

Są jednak Ludzie, którzy walczą z Postaciami na różne sposoby, jednym ze sposobów jest kampu. Pojęcie to na początku XX wieku oznaczało przesadny sposób zachowania, nieokrzesany, szorstki. Aktualnie jest to estetyczne widzenie świata, czyli patrzenie z dystansu, prześmiewcza gra z konwencjami. Kładzie nacisk na stylizację, kicz, sztuczność. To rodzaj mini spektaklu, który wymaga wystawia-

nia się na widok publiczny. Ten ostentacyjny ekshibicjonizm podszyty jest zabawą. Kampu lubuje się w powierzchowności, ucieka głównie do formy, nie przekazując żadnej treści. Właśnie w taki frywolny sposób za pomocą kampu Szymon Majewski tworzy swój show w telewizji.

Program składa się z czterech części: rozmowa z gośćmi, konkurs wiedzy „Końca nie widać”, kabaret „Rozmowy w tłoku”, a na końcu zawsze zaskakuje jakąś ciekawostką. Program rozpoczyna rozmową ze swoimi gośćmi, a są nimi ludzie ze świata mediów, czyli właściwie Postaci czyli politycy, aktorzy, muzycy, dziennikarze. Przed każdą rozmową Majewski pokazuje wszystkim przygotowany o nich materiał filmowy, prezentujący ich życie streszczone w jednej minucie. Wydarzenia z ich życia nie są tymi najważniejszymi, a dodatkowo montaż skrzywia całą prawdę. Następnie przechodzi z nimi do rozmowy. Wydaje się ona zupełnie pozbawiona sensu, zadaje pytania, na które częściej sam odpowiada, po czym żąda aplauzu publiczności. Tematy rozmów nie poruszają żadnych treści, mogą dzięki temu przypominać postaci z dramaturgii absurdu. Po takiej „rozmowie” wręcza, mało zadowolonym gościom, dziwaczne prezenty, które jednak w jakiś sposób pasują do swoich właścicieli np.: aktorka Katarzyna Cichopek, zwyciężczyni programu „Taniec z gwiazdami” otrzymała od Majewskiego składany, przenośny, mini parkiet do tańca. Analizując dopiero pierwszą część programu już można znaleźć dowód na tezę, że jest to kampu: (...) *wrażliwość kampu jest całkowicie estetyczna. Kampu jest konsekwentnie estetycznym przeżywaniem świata. Wyraża zwycięstwo „stylu” nad „treścią”, „estetyki” nad „moralnością”, ironii nad powagą!*. A taki jest styl przeprowadzanych dyskusji z zaproszonymi gwiazdami. Ponadto sam wygląd, ubiór, a właściwie kostium sceniczny prowadzącego, wyśmiewa poważne garnitury prowadzących inne programy publicystyczne, czy też rozrywkowe, ponieważ nikt nie ubierałby żółtych spodni, fioletowej, błyszczącej marynarki z wielką różą w butonierce

ŻYCIE JAKO GRA ESTETYCZNA C.D.

i różowej koszuli – (...) „jedynym kryterium czynu jest elegancja” (...) „w sprawach wielkiej wagi najistotniejsza nie jest szczerłość, lecz styl”². Swoim wizerunkiem sprawia, że gwiazdą programu nie jest zaproszony gość a właśnie prowadzący, który nikogo nie potrzebuje do swojego show.

Po rozmowie zaprasza gości do drugiej części programu, czyli konkursu wiedzy pod hasłem „Końca nie widać”. Nazwa oczywiście w pełni pasuje do całościowej stylizacji. Jest to konkurs wiedzy, który z wiedzą nie ma nic wspólnego, ponieważ sprawdzian polega na szczęśliwym trafieniu dokończenia zdań znanych ludzi. Dla zwiększenia wyrafinowania zabawy, owe „wypowiedzi” to chrząknięcia, rodzaje śmiechów, lub słowa egzotycznych języków, które trzeba powtórzyć. Ten konkurs to parodia różnych teleturniejów, np.: wyśmiewa „Familiadę”, na początku której gospodarz programu zawsze opowiada marny dowcip, podobnie więc Majewski opowiada dowcipy, lecz już w kampsowy sposób. (...) „To camp” to uwodzić kogoś stosując przejawione manieryzmy, które dają się interpretować dwojako. Gesty pełne hipokryzji mają żartobliwy sens dla wtajemniczonych i inny, bardziej bezosobowy, dla obcych³, ten przykład rozumienia kampu, udowadnia, że omawiane show można tak właśnie analizować. Kamp, tak samo jak „Końca nie widać”, detronizuje powagę, jest żartobliwy, niepoważny. W konkursie tym dziwne, nietypowe nagrody, jak np.: worek siana, wygrywa osoba z publiczności.

Takim akcentem Majewski żegna swoich gości i przechodzi do trzeciej części programu, do kabaretu „Rozmowy w tłoku”. Jest to już bardzo wyraźny kampsowy stosunek do programu Ewy Drzyzgi „Rozmowy w toku”, gdzie przeróżne problemy poruszane są z autentyczną powagą. Natomiast w „Rozmowach w tłoku” występują współpracownicy Majewskiego przebrani za różne gwiazdy np.: za Kazimierę Szczukę, Dodę, Kazimierza Marcinkiewicza, Andrzeja Leppera, Krystynę Jandę i prowadzą nedorzeczne rozmowy. Jest to Kamp nie dlatego, że parodiuje zachowania tych postaci, lecz dlatego, że dominuje tu stylizacja, sztuczność, przerost formy nad treścią. (...) *Kamp widzi wszystko w cudzysłowie (...) dostrzegać kamp w przedmiotach*

*i ludziach to pojmować Bycie-jako-granie-Roli*⁴. Rozmowy te nie są polityczne tak samo jak kamp, ci ludzie jedynie odgrywają role znanych osób, ale nie przemycają żadnych treści. Tworzą swoisty rodzaj pantomimy, gdyż tylko charakterystyka i gesty przypominają wzór, natomiast podejmowane tematy zupełnie pozbawione są sensu, właściwe więc mogłyby nie istnieć, ale kampsom są poglądy wypowiedziane w specyficzny, żartobliwy sposób. (...) *Kamp jest rozpuszczalnikiem moralności. Neutralizuje moralne oburzenie, popiera żartobliwość*⁵.

Pod koniec programu Majewski zawsze ma zaskakującą niespodziankę dla swoich widzów, np.: obiecuje, że pokaże marsjanina, poczym przedstawia zapis w książce telefonicznej Mars Janina, (...) *smak kampu zakłada przede wszystkim zabawę. Chce się bawić. Ma tylko pozór złośliwości, cynizmu. (...) Jest próbą zrobienia czegoś niezwykłego. Ale często niezwykłego w znaczeniu szczególnego, oszalałającego, nie zaś niezwykłego w sensie wielkiego wysiłku*⁶. Taki właśnie jest ten przykład z marsjaninem, i w każdej innej przygotowanej przez showmana niespodziance. Taki jest cały ten program, gdyż pokazuje coś niezwykłego bez większego wysiłku. Bywa cyniczny, frywolny, stylizowany, przerysowany, sztuczny. To jest show, spektakl bez treści, nadmiar wyrafinowanego humoru, mnogość gagów.

Zbudowany jest więc z tych samych elementów co świat owych idealnych, kolorowych reklam i pozbawionych treści programów rozrywkowych, tylko główna różnica polega na tym, że Majewski tworzy swój show z dystansem. Dzięki temu walczy z Postaciami. Tak jak one wdarły się do świata ludzi, tak i on znalazł się w ich świecie. Majewski tworzy kamp, a widz może dzięki temu, że obserwuje kogoś zdystansowanego, sam nabrać dystansu i zrozumieć, że skoro oczekiwanie na Marsjanina minęło się z wyobrażeniami, tak samo może być z płatkami kukurydzianymi.

Wszystkie cytaty pochodzą z: S. Sontag: Notatki o Kampie. „Literatura na świecie” 1979. Nr 9. S. 319.





„AKTOREM BYWAM RACZEJ PRZYPADKIEM...”

– rozmowa z Januszem Radkiem.

Z zawodu jesteś historykiem. Jak zaczęła się Twoja przygoda z muzyką i aktorstwem?

Początki były typowe – jak wielu młodych ludzi chciałem śpiewać i tworzyć coś własnego. Wynikało to z moich przemyśleń na temat sztuki i niechęci do bycia jedynie biernym słuchaczem. Podczas studiów w Krakowie obracałem się w kręgach rockowo – jazzowych, tam zdobyłem doświadczenie, które wykorzystałem dokonując indywidualnych interpretacji piosenek z repertuaru „Piwnicy pod baranami”. Aktorem bywam czasami i ma to niewiele wspólnego z zawodowym uprawianiem tej profesji. Naprawdę jestem tylko wokalistą, w tym widzę dla siebie możliwość samorealizacji.

Kiedy otrzymałeś propozycję zagrania roli Judasza w chorzowskiej inscenizacji musicalu „Jesus Christ Superstar” przyjąłeś ją od razu, czy też miałeś jakieś chwile wahania? Bo przecież wcielasz się w postać, która zawsze będzie kojarzyć się ze złem...

Rola Judasza... no cóż, nie wahałem się ani chwili. Wydaje mi się, że wcielając się w tę postać mogę widzom naocznie pokazać, czym jest zło, uświadomić konsekwencje niewłaściwych wyborów. Dla mnie było to poważne wyzwanie aktorskie tym bardziej, że absolutnie nie utożsamiam się z grany przeze mnie bohaterem.

Czy rola Judasza zmieniła Twoje spojrzenie na sztukę i na śpiewanie?

Ta rola to mój pierwszy kontakt z teatrem muzycznym – nietypową formą inscenizacji spektaklu. Oprócz operowania środkami aktorskimi, ta forma „wymusza” odpowiedni ruch sceniczny, a przede wszystkim właściwy dobór środków przekazu.

Oprócz musicalu „Jesus Christ Superstar” zagrałeś także w „Operze za trzy grosze”, „Śnie nocy letniej” czy w „Opowieściach jedenastu katów”. Czy w którejś z dotychczasowych ról spełniłeś się aktorsko, czy może wciąż czekasz na rolę swojego życia?

Jak już wcześniej wspomniałem, aktorem bywam raczej z przypadku, dlatego bardziej oczekuję na spełnienie swoich muzycznych ambicji. W chwili obecnej realizuję nagrania do trzeciej solowej płyty. Na tym krążku znajdzie się kompilacja przeróżnych stylów i interpretacji zarówno tekstu, jak i muzyki.

W kilku zdaniach.... „czym dla Ciebie jest muzyka”?

Na początku nie interesowało mnie nic oprócz muzyki. Obecnie jest ona dla mnie jedną z części składowych misterium odbywającego się na scenie. Oczywiście nadal jest bardzo ważna, choć teraz traktuję ją jako istotny, ale jednak tylko element integralnie powiązany z treścią spektaklu. Dzięki temu zacząłem patrzeć na scenę w sposób bardziej plastyczny i dostrzegłem jej różne płaszczyzny. Nie chcę popaść w rutynę, dlatego muzyka, którą proponuję swoim widzom, jest utrzymana w różnych konwencjach, mimo to ich teatralny charakter jest dość widoczny.

Jakie są Twoje artystyczne marzenia i plany?

Planuję wydać swoją trzecią płytę. Mogę zdradzić, że utwory, jakie znajdują się na płycie, będą stanowiły spójną opowieść... Oprócz tego chcę się skupić na tworzeniu własnego, autorskiego repertuaru.

Czy dzięki tym wszystkim prestiżowym nagrodom, których jesteś laureatem, czujesz się człowiekiem sukcesu?

W chwili obecnej raczej nie. Myślę, że największym sukcesem dla mnie jako wykonawcy będą pełne sale koncertowe i liczna sprzedanych płyt. Póki co, mam mnóstwo pomysłów na najbliższe lata. Moim marzeniem jest nigdy nie obniżyć lotów.

Posiadasz niesamowite zdolności wokalne. Czy w jakiś szczególny sposób dbasz o swój głos?

Raz w miesiącu bywam „na przeglądzie” u foniatry. Regularnie piję siemię lniane z miodem a oprócz tego nie stosuję żadnych magicznych zabiegów.

O czym może jeszcze marzyć gwiazda nie tylko polskiej estrady?

Chciałbym zakończyć budowę swojego domu. Najważniejszym jednak marzeniem pozostaje dla mnie pragnienie realizowania się w życiu i osiągnięcie zamierzonych celów.

Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zaprosić na Twoje koncerty, a Tobie życzyć dalszych sukcesów!

Ewa Kościńska
Agnieszka Perzyńska

Z W Y C Z A J N A L U D Z K A S C E N A

Joanna Storczevska-Segieta



To jest zimna podła gra. Gra prosto w plecy. Pozwoliłam wprowadzić za próg mojego domu trojańskiego konia. W środku były wilki w ludzkiej postaci. Zanim się zorientowałam, zło rozpełzło się po kątach jak smród. Dałam się zwabić słodkim słowem plecionym bez składu, źle odczytałam „co w sercu, to na języku”, bo to co w sercu, ukryło się pod skórą.

Stoję na miękkich nogach z mikrofonem w ręku. Tuż przede mną, tuż pod sceną, stoją trzy dziewczyny w tunikach podobnych do tej z projektu na okładkę naszej pierwszej płyty. Dziewczyny wyglądają jak ja. Już są mną. Kołyszają się. Nie ma wątpliwości, że wygryzają mnie ze sceny, że czytają jak hieny na moje miejsce w zespole. Nie wiem co mną kieruje, ale samobójczo wołam je do siebie. Łzy wydrapują mi oczy. Boję się. Zmniejszam. Kurczę się w miarę wzrostu ich cienia. Nie mogę się rozrzewnić. Podaję mikrofon pierwszej. Naiwnie wzniecam w sobie nadzieję, że go nie weźmie. Wzięła. Druga beczelnie wyciąga mikrofon ze statywu Kamienia. Czuję duszący skurcz krtani. Rozglądam się za trzecią. Trzecia... ma własny mikrofon! Ona wiedziała, Boże, ona wiedziała, że zaśpiewa za mnie! Dziewczyny ustawiają się do mnie plecami, stoją tyłem, wypierają mnie, śpiewają moją piosenkę „*A te panie wyszydzone, wezmę też na swoją stronę, z Moulin Rouge, Moulin Rouge*”, muzyka mojego zespołu gra dla nich, a moja publiczność im wiwatuje!!!

Umieram... Mój permanentny zły sen w końcu się spełnia. Pod sceną – moi wielbiciele; płątanina rąk, głów, ciał rozszarpanych wrzaskiem. Naprzeciwko sceny, za widownią, jest ogromna lustrzana ściana. W niej – też publiczność, inna i zła publiczność, przemyślnie i pogardliwie odwrócona do mnie tyłem! Za linią lustra wszyscy stoją do mnie plecami. Obludnicy! Kłamcy! Knują, porozumiewają się na migi, ich głowy podskakują w rytm hipokryzji, a mimo to rośnie we mnie niepokonany strach, że odejdą.

Jestem półwidzialna; w lustrze nie ma mojego odbicia, tylko czerwono-czarne plamy szmat estradowych imitujące bezkształtne ciała naszego

zespołu na czerwono-czarnym tle. Łączymy się tłem. Jedynie Kamień jest wyraźny w swoim smokingu z amarantowego dżinsu. A ja znikam.

Patrzę ze sceny na niewiernych, przebierańców, prowokatorów, kim są... Dla nich na kolanach wyblagałam u Kamienia ten ostatni darmowy koncert klubowy. Zgodził się na sześćdziesiąt osób. Mało, ale razem z tymi w lustrze jest ich sto dwadzieścia. Zrobiłam czerwono-czarne tło i ubrałam zespół w czerwono-czarne barwy, bo przynoszą mi szczęście, ale zawiodły mnie tak jak wszyscy i wszystko. Pierwsze skrzypce gra ludzka podłość. Wdzięcznym gestem kupiłam niewdzięczność. A Kamień błyszczy amarantem...

Pamiętam, wiem, że było okej, dobra zabawa, radocha, aplauz i że świat zaczął się walić dopiero dziesięć minut temu, kiedy zemdlał ten cholerny gówniarz, co robił nam zdjęcia. Sześćdziesiąt minus jeden, sto dwadzieścia minus dwa w lustrze... Zabrali go i zobaczyłam po nim puste miejsce. Nie potrafię odrzucić od siebie jasnego rachunku – sześćdziesiąt fanów minus jeden, sto dwadzieścia minus dwa w lustrze! Publiczność zmalą, skurczyła się, zrezygnowała ze mnie... ze mnie! Opuściłam jeden refren. Teraz próbuję poderwać się w ostatnim utworze. *Jaaaa się z waaami braaatam...* Jestem niesłyszalna, stoję na scenie, która lada moment skończy się pod stopami, wypierają mnie plecy trzech ubranych w tuniki dziewcząt. Sen o domu straszy kolorowym szkłem. Za linią lustra wszyscy mają mnie gdzieś. To już obłęd. Dotknęła mnie rzeczywistość; to nie jest scena koncertowa, zwyczajna ludzka scena, kiedy zapraszasz przyjaciół, przychodzą znajomi, a żegnają cię jako twoje przekleństwo. Uwierzyłam ludziom, którzy być może nie pójdą spać tej nocy, bo jeszcze długo będą drwić ze mnie; długo, do białego rana. I już nigdy do mnie nie wrócą...

Kamień w ludzkim odruchu przybliży się do mnie i chyba o coś pyta. Nie słyszę. Brakuje mi oddechu; ściana zbudowana z pleców zacieśnia przestrzeń. Ręka Kamienia na moim krzyżu, duszno, nie ma sceny, nad głową karo-pik, karo-pik, pasiasta zasłona – wiem, że spadam za kulisy.

P

R

O

Z

A

Nr 0 / 2006
Str. 33 / 46





P

Nadal grają ten sam utwór w wersji bez gitary. Boję się poruszyć. Bezruchem głaskam temperament Kamienia. Na brudnym suficie odbijają się czarne nie-ruchome kable. Zimny, bezduszny, nie-ludzki Kamień dźwiga głowę, opiera się rękami o deski podłogi, siada i bierze do ręki gitarę. Głasz-cze ją jak posiniaczone dziecko; widzę maleńkim wilgotnym kątem oka. Nadal próbuję być martwa. I słyszę:

– Widzisz głupia?! Mówilem, że niedojrzałe jabłka gniją na drzewie przy złej pogodzie.

R

O

Z

A

Jestem kompletnie pijana. Wróciłam do domu przed północą. Wróciłam z nim; z bólem karku i głowy. Spadłam ze sceny jak z wysokiego ko-nia, tylko ten koń miał schody. Poobijałam się; koszmarny dotyk upadku w pełnym tego słowa znaczeniu. Wiedziałam, że nie zasnę, więc zrobi-łam roztwór na okład z wódki, cytryny i mięty i piłam go jak wodę. Długo nie pomagał. Nieudol-nie zabawiał mnie w środku do łez. Szcherbaty błazen w błyszczącej koszuli w czarno-czerwone pasy rzucał mną o miękką ścianę zbudowaną z ludzkich pleców, która pulsowała w rytm biją-cego serca. Błazen chichotał jak zły duch. Moc-ny zapach gorzałki wytrącał mnie z koszmaru i zapędzał w cztery ściany płaczu – do mojego domu. Przypominał skąd jestem. Próbowałam zasnąć, a wówczas potężnym bólem w klatce pier-siowej, który zmniejszał mnie do rozmiaru em-briona, wracałam na czarno-czerwoną scenę nie-pewną i grząską, gdzie koncert zakończył się sie-dem godzin temu.

O drugiej zabrakło cytrynowo-miętowego roz-tworu. W zasięgu ręki stała butelka wódki. Siedzia-łam na kanapie w czerwono-czarnym gorsecie i czarnych połyskujących spodniach z głową w wiaderku. Moja matka byłaby ze mnie dumna.

Nie ruszam obolałą głową, a ona i tak jest jak wariatka na rowerze. Poruszam tylko ręką, którą podstawiam do ust szklaneczkę i objam się od ścian pod powiekami świtu.

Nie widzę nigdzie mojego kota. On nie lubi alkoholu, a ja sporo wypijałam. Wódka, mięta, cytryna. Raczej wódka, wódka, wódka, mięta, cytry-

na, alkoholowa kołysanka, która marnie kołysała. Kot wystraszył się mojego rodzowego zapachu jak psa. Prawdę mówiąc, ja też się go boję. Nie spo-sób po ludzku wypić lampki wina, żeby nie my-śleć – czy właśnie teraz stoję się alkoholyczką? Dziedziczyć? To mniejsza paranoja, nie mniej do-kuczliwa. Zazdroszczę ludziom, którzy zagląda-jąc do kieliszka, zobaczą wyłącznie własną twarz. Szczęśliwi są.

Często śni mi się mój dom rodzinny. Wcho-dzę do brudnej klatki schodowej i po drewnianych schodach docieram na pierwsze piętro. Drzwi za-wsze są uchylone, wystarczy popchnąć je palcem i otwierają się do oporu. Przy spękany piecu ka-flowym w kuchni siedzi moja matka i miesza pal-cem sodę w szklance. Strasznie chce jej się pić. Z kuchni widać ojca śpiącego na kanapie w uty-łanym podkoszulku podciągniętym pod szyję. Jego wielki różowy brzuch wygląda jak wieloryb. W do-mu śmierdzi alkoholem nalany do kieliszków, szklanek, rozlanym na podłodze, wypoconym przez pachy i stopy, stężałym na skarpetkach.

W moim domu – kochani rodzice, fatalni ro-dzice i bolejący Jezus na ścianie, po przeciwnej stronie regał z wódką zastawiany w razie kontroli parawanem z desek, na którym wiszą inne święte obrazki. Imitacja wiary w Boga. W ogrodowym koszyku na jabłka, których wraz z ogrodem nigdy nie mieliśmy, piętrzą się kapsle. W kontenerach pamiętających stare dobre czasy, kiedy przywożo-no w nich coca-colę do knajpy mojego wujka, uty-łane butelki czekają na kąpiel. W kącie z mohe-rową pajęczyną puszczają bąbelki aktywne drożdże w balonie. Bul, bul... Stary kredens, stary fotel dla psa, nowy fotel dla taty, potargany tapczan dla mnie i dla mamy. I w tym śnie czuję tu swoją szczęśli-wą nieobecność.

Przez te mary zdarza mi się, że kiedy stoję na scenie i przesuwają się po mnie kolorowe światła, wracam do tego snu i wiem, że to nie światła; to ja przesuwam się za ręcznie robionym regałem, na którym ustawione są różnokolorowe butelki z wy-sokoprocentowym samogonem. Tyle razy próbo-wałam uciec od tej mojej przepitej metryki, od tej historii mojego poczęcia, które miało miejsce mię-dzy półkami z alkoholem własnej produkcji... na mecie... w melinie... Tyle razy prawie się udało... Ale się nie udało.

ZWYCZAJNA LUDZKA SCENA C.D.



Do zespołu trafiłam przez klub karaoke prosto z piekła, spod skrzydeł matczynych jak spod spoconej pachy w dniu kiedy zdałam maturę. Domowym skacowanym alkoholikom o twarzach wiecznie nabrzmiałych i wzruszonych do łez nic nie powiedziałam. Nie obudziliby się ze szczęścia. Ktoś, a może KTOŚ bardzo dla mnie dobry; myślę, że to był Bóg, wziął odpowiedzialność za ten nieprawdopodobny zbieg cudownych okoliczności. Zatrzęsło się moje dno i wyrzuciło mnie na brzeg, gdzie czekało na mnie śniadanie i dni piękne jak uśmiech dziecka.

Muszę wytrzeźwieć. Za parę godzin przyjdzie mi złożyć skrzydła i przeżyć kolejne, inne przedstawienie prawdy o ludziach. My, którzy tworzymy zespół jak jedno ciało, przestaliśmy się lubić. Wymieniamy kilka zdań na próbach i o próbach. Nie zaczepiamy się. Nie mówimy o niemuzyce. Zwyczajne nienawidzimy się. Podobno ja jestem odpowiedzialna za tę psychiczną szubienicę. Ja – niedojrzałe jabłko.

Wczoraj na zakończenie dnia i współpracy, Kamień dużo do mnie mówił, bardzo dużo pytał. „Na co ty cierpisz, mała pocięta samarytanko? Dla kogo wystawiłaś ten melodramat? Ćpasz? Powiedz, ćpasz?!!! Wywaliłem na śmietnik dziesięć kawałków przez tę twoją szopkę! Ściana lustrzana, mówi ci coś? Kupiłaś ją! Konik mi powiedział, że chciałaś mieć więcej publiczności. Rozumiesz co robiłaś? Kupiłaś ścianę, ścianę z lustrem, żeby był tłum! Kapujesz? Jesteś psychicznie skrzywiona! Po cholere kazałaś tym dziewczynom wyć do mikrofonów i jeszcze się wycofałaś, pamiętasz chociaż? Po co lazałaś do tyłu, ty fiolko psychotropów, po co? Pytałam co się dzieje, nie odpowiadałaś tylko pociągnęłaś mnie za kulisy! Koniec przedstawienia, wracaj skąd przyszałaś. Niedojrzałe jabłko zgniły na drzewie!”

Tylko człowiekowi, który się nie boi pozwoliłabym mnie wyśmiać i nie zrozumieć. Jestem dzieckiem ewakuowanym z dna na rękach sukcesu naszej pierwszej płyty. Druga płyta nie udźwignęła ani mnie, ani nikogo z zespołu. Podziałała jak wirus. Na każdym koncercie dopadał mnie dziki lęk – mokre dłonie, łzawe myśli, zroszone czoło, podejrzliwe spojrzenia na publiczność czy nie spi-

skuja, nie wychodzą, nie są manekinami. Widziałam tylko tych, którzy mdleli i ich wynoszono i tych, którzy za dużo wypili i ich wypraszano. Ruchomy tłum przesuwał się na ich miejsca, a ja ciągle widziałam pusty kawałek parkietu, jasny jakby podświetlony od spodu reflektorem. Bez nich coraz bliżej mi do domu. Dlatego kupuję ich, bo powroty ranią.

Rozdawałam płyty na koncertach, podpisywałam umowy o darmowych występach, zapraszałam ulicę na próby, dawałam pieniądze na różne, niekoniecznie ważne cele i wyprawiałam te darmowe koncerty klubowe, na które Kamień coraz trudniej się godził. Łagodnie tłumaczyłam mu, że to my tkwimy w brzuchu stworzenia jakim jest publika i od niego zależy czy nas wchłonie, czy nas strawi i że ja wolę być witaminą. Tydzień temu zaprosiłam dwadzieścia osób na próbę; stali na ulicy i klaskali kiedy szłam. Na próbie przeżywali tytoń, żeby nie wychodzić nawet na papierosa. Zwinęli dwie gitary. Przed budynkiem czekało jeszcze dwadzieścia następnych osób. Wysłuchali co Kamień miał mi w tej sprawie do wykrzyczenia.

Wczoraj wieczorem nazwał mnie „pociętą samarytanką”. Miłe, prawda kocie? Chodź, ty zaspasana kupo sierści, czemu miauczysz pod łazienką? Potrzebna ci kuweta? Help yourself, kocie, twój problem można zakopać w piasku, mój jeszcze długo będzie lewitować pod sufitem miast.

Jest piąta nad ranem. Słońce nie dźwiga powiek. Całą noc gapiłam się w okno. Za chwilę swoją pracę skończy trzecia zmiana. Zanim zacznie się mój sen, oni przyjdą do domu, napiją się ciepłej herbaty, ucałują delikatnie śpiące dzieci i wsuną zmarzniete nogi pod zagrzaną koldrę, jak sobie to nie raz wyobrażałam. Wstaną przed południem i będą sobie normalnie żyć, miękko i łagodnie do końca świata. A ja nie...

Wracam do domu; od klubu karaoke okrężną drogą przez meandry sławy, oczka jupiterów, gorzkie żale, płatki róż, aż do tego pijackiego przytułku, gdzie tatuś z mamusią błogo zasypiają przy łagodnej kołysance płynącej z pozytywki produkującej słodkie wino i bimber. Mój świat znów jest bezludny. Kot wymknął się z domu. Przypominam sobie o Bogu. Każde słowo do Niego upada na podłogę.

P

R

O

Z

A

Nr 0 / 2006
Str. 35 / 46





Joanna Storczevska-Segieta

WINNI CZYSTYCH PAPETERII

POd skrajnego przygnębienia tłumaczonego ostrym stanem samotności ratuje mnie ból zęba. Owija mnie wokół siebie. Taki przyjaciel niepotrzebny... Muszę się nim zająć, utulić przede wszystkim, oswoić... Na koniec odebrać mu życie. I zapomnieć przejrzyscie jak się twarze zapomina. Bez skrępowania.

RNajbardziej cierpię, kiedy ona mnie kaleczy, ta pogoda umysłowo chora, obłąkana, zatracona w przemijaniu pór roku. Nieprzytomnie przypłatała się deszczem i szarugą w samym środku lata. Niech ją diabli! Chmury w lokach, baby prosto od fryzjera z minuty na minutę uwalniają po kolei kopiaste pukle w proste, zaniedbane strużki. Nikt dzisiaj was nie podziwiał!

ZPogoda wyjęta spod prawa do mnie przeciwbólowym środkiem nic sobie z tego nie robi. Bezczelnie się roznosi po strychu wspomnień, przemysławiając z kurzu twarze wypchnięte tam za karę. Za oddanie mnie w niepamięć.

AWraz z tym deszczem uprzykrzonym, światem beznadziejnie rozrzuconym, głupim i niewyraźnym, przylazi i on, ten ból w stawach, reumatyczne wiano od matki i ojca, czekające dżdzu, żeby się rozpulchnić, dojrzeć i wcisnąć mnie w fotel, w którym cisza z melancholią rozmawia o bezludziu.

Siedząc z daleka od okna przynajmniej ono mnie nie upokarza, towarzystwo wzajemnej adoracji, ludzie co się lubią, jak durnie sobie ufają, że zawsze lubić się będą i przybywać na zawołanie każdej telefonicznej łzy alarmującej o smutku. Ludzie ułożeni parami, chodzą po ulicach niklowani przyjaźnią, kochaniem, złączeni podobieństwem nastrojów, upychają się po kawiarniach i przy herbacie dzielą się słowami i spojrzeniem. A po drugiej stronie szyby ja – niezauważalna w pojedynkę. Połowa cienia i połowa rozmowy.

I kiedy depczą mnie do społu ta pogoda, ten ból i to towarzystwo, zamiast snu pojawiają się oni.

Z tego fotela, w którym toczą się moje głuche wieczory, widzę niebo. Zadzieram głowę do góry; chmura betonowa zasłania od spodu jakie jest zagracone, zakurzone... Niezbywalne niebo, miejsce dla tych, którzy ode mnie odeszli. Patrzę w nie; wzrokiem mijam centralny punkt czteroramienny z dwoma żarówkami. Wiem, że tam są. Żyją tam od lat. Oni, winni czystych papeterii, głuchych telefonów, niespiesznych wizyt.

Twarze ich wyraźne, usta zaklejone. Nie powiedzą nic, bo cóż można powiedzieć... Przyjaciele zza granicy miasta, dzieci co im się od życia należy jak świętym krowom wolna droga, mężczyźni niestali w uczuciach, znajomi mylący moje imię. Proszę stąd wyjść! Proszę wyjść, dopóki nie zapomnę was co do jednego! Słuchać nie chcą. Przeciskają się ze strychu wspomnień poprzez sufit, przez to moje domowe niebo bez gwiazd.

Samotność boli podczas pogody popielatej, rozmięklej, błotnistej. Skuwa mnie bez wysiłku i prowadzi posłuszną na fotel. Ubezważa mnie. Dosypuje halucynogenu do głowy. Patrzę w niebo nad fotelem. Czuję pozdrowienie od własnego ciała; kolana rwą, łokcie łamią, ramiona drażnią, a bezrybie w moim pokoju pachnie maścią kamforowa, aż mdli. Głowa się rozmnaża, a pretensje razem z nią. Patrzę w to moje niebo, dźwigające strych i liście fotografii po nim rozsypane. Tam nakazałam im zwiędnąć, skruszyć się, najlepiej spopielić samoistnie każdą cząstkę tej hołoty, chociaż to takie oczywiste, że nie zapomnę o niej, dopóki za oknem rozmawiać będą ludzie, którzy się lubią. Zerkam na nich z dystansem, ale kiedy deszcz się uspokoi to i ból minie razem z nim, a wtedy włożę najlepszą sukienkę i pójdę razem z nimi.

JASIO WRÓBEL EK WRACA DO KIN

Jakub Ziobroń



OKIEM
KRYTYKA

Kreacja, która zrobiła z niego gwiazdę. Tak można przeczytać w byle brukowcu. Patrząc jednak na życie bohatera tego artykułu warto zapytać czy takie określenie w ogóle do niego pasuje.

Zacznę od krótkiego życiorysu. Urodził się w małym miasteczku, potem przeprowadził się, z rodzicami, do większego, a potem zrobił karierę. Zaczyna się normalnie a potem jest już tylko dziwniej. Przejdźmy jednak do czegoś interesującego. Miastem w którym się wychował było Miramar na Florydzie. W wieku 16 lat rzucił szkołę dla gitary. Kapela w której grał (jedna z kilku) „The Kids” otwierała koncerty min Iggy Popy i The Ramons. Całkiem nieźle jak na nastolatka, prawda? Wiecie już o kim mowa? Nie? No to jedziemy dalej. Z Florydy wyjechał do Los Angeles, i tam porażka. Zespół się rozpadł, a nasz młodzieniec sprzedaje długopisy przez telefon i pracuje na stacji benzynowej. Przy okazji żeni się, by za niedługo rozwieść się. Kumpel żony załatwia mu małą fuchę. Znajomy nazywa się Nicolas Cage, a fucha to rola w filmie „Koszmar z ulicy wiązów” Wesa Cravena. Już Ciepłej? Nadal nie? No to dla tych co jeszcze nie wiedzą o kim mowa, kawa na ławę. John Christopher Depp II krócej Johnny Depp, dla jednych ekscentryk dla innych świrus, kiedyś wieczny buntownik, obecnie ojciec dwójki dzieci. Czy stateczny? Chyba jednak nie.

Po kilku małych rolach, dostaje angaż w serialu telewizyjnym „21 Jump Street”, szybko staje się telewizyjną gwiazdą. Fabryka zwana Hollywood zwraca na niego uwagę. Przyczepia mu etykietkę „młody buntownik”, łąduje na plakatach i tyśiące nastolatek piszczy na jego widok. Fajnie? Nie dla niego. Okazuje się, że Johnny Depp ma w nosie „fabrykę”, konsekwentnie odrzuca propozycje „przebojowych ról”. „Nie mam zamiaru być częścią tego syfu” mówi całą swoją postawą. Fakt, że system cały czas stara się go przemielić na swoją modłę, nadać mu jakieś odpowiednie określenie, włożyć do odpowiedniej szufladki, niezmiennie go irytuje.

Rzucony od razu na głęboką wodę showbiznesu okazał się być urodzonym pływakiem. Braki nadrabiał obserwując najlepszych. Czytał i oglądał co tylko się dało. Konsekwentnie starał się pracować tak jak chciał i z kim chciał. Podejmuje

współpracę z takimi reżyserami jak Tim Burton, Emir Kusturica, Terry Giliam. Gdy po *Edwardzie Nożycorękim*, przylepia się do niego etykieta aktora grającego introwertycznych outsidersów, bierze rolę w *Donnie Brasco*. Rasowym dramacie kryminalnym. Zbyt normalna postać? Więc gra w *Las Vegas Parano* – ekranizację powieści / reportażu o psychodelicznej podróży z walizką pełną dragów. I tak można by długo.

W wywiadach podkreśla, iż to co robi uważa za ciekawą choć ciężką robotę, która, jeżeli ma ją dalej wykonywać, musi mu przynosić satysfakcję. A skąd ją czerpie, właśnie z uczestnictwa w projektach, które są interesujące, dają mu możliwość stworzenia intrygującej postaci. Wyrobiona marka pozwala mu na wybór właśnie takiej a nie innej roli. Nie musi się pakować w coś co z góry ocenia jako idiotyczne lub płytkie. Żeby nie było nieporozumień, sława niewiele go interesuje.

Przyjmuje ją jako coś, co jest nieodłącznie związane z jego zawodem. Bierze więc udział w wywiadach o niczym i w konferencjach prasowych, które sprowadzają się do odmawiania odpowiedzi na pytania o życie prywatne.

Jak można opisać w kilku słowach decyzje, które podejmuje? Wystarczy jedno. Niezależność. Patrząc z perspektywy kilku lat, kreacji które stworzył, zdarzeń których był bohaterem, wyłania się człowiek, który postanowił iść drogą, którą sam wybrał. Jest bystrym obserwatorem, tak w pracy tak i poza nią. Potrafi szybko trafić w sedno i nie obawia się swojego zdania. W razie czego potrafi chwycić kij i go bronić. Bohater kilku skandali, do niedawna właściciel nocnego klubu i „seryjny monogamista”. Teraz jest szczęśliwy z Vanessą Paradise i żyje we Francji.

Owszem ma pieniądze, ale tak naprawdę nie są jego głównym celem. Gdyby tak było, nie grałby w filmach, które podobno były z góry skazane na klęskę. Piszę podobno, ponieważ tak się stało. Czy to jego osobowość jako aktora lub postaci, czy też wrodzone wyczucie, pozwoliły mu stworzyć kilka kreacji, które zawsze będą pamiętane. Wspiął się na szczyty kariery w Hollywood, ale zrobił to jakby mimochodem. Na każdym kroku udowadniając, że nie ma zamiaru osiągać sukcesu za każdą cenę. On sam do niego przyszedł.

Nr 0 / 2006
Str. 37 / 46





OKIEM

KRYTYKA

Nr 0 / 2006
Str. 38 / 46



Ja wiem, że to co napisałem brzmi jak skrzyżowanie laurki ku czci, z usprawiedliwieniem. Każdy przecież wie, że Johnny Depp zagrał w kasowym hicie Disneya. Jasio Wróbelek w jego wykonaniu, no dobrze Jack Sparrow lepiej brzmi, to było arcydzieło i kwintesencja piractwa. Tak, tak, niby taki niezależny, awangardowy, a w czymś takim zagrał. No pewnie, że zrobił to dla kasy.

Trochę mnie takie podejście irytuje. Znaczy się co? Cegła mu spadła na głowę i zmienił sposób patrzenia na świat? Nie tak prędko, nie tak szybko. Kiedy pytanie „dlaczego” pada w wywiadach, on z niewinną miną odpowiada „bo zawsze chciałem zagrać pirata”. I to jest prawda. Ale to

nie koniec, co prawda nie była to cegła, ale rzeczywiście coś spadło mu na głowę. Córka. Ktoś, kto zmienił cały jego światopogląd. Syn tylko utrwalił ten stan. Jak sam twierdzi, to co robił przedtem to już przeszłość, nie jest już główniarzem, może nie wygląda na swoje cztery dychy, co z tego że nadal zbiera robaki. Jest tatą, a dla niego to jest coś, co zobowiązuje.

To, że chciał zagrać w filmie, na który może iść ze swoimi małymi dziećmi? Cóż w tym złego. Na dokładkę dodam, iż nikt nie przeczuwał iż „Piraci z Karaibów” zrobią taką furorę. Teraz Ci sami krytycy wieszczący niegdyś klękę, zgodnie twierdzą, że wszystko dzięki osobie kapitana Jacka Sparrowa.





Nieład

W aurze latarni wstaje noc, podnoszą się mgły,
gdzieś umiera papież, gdzieś kobieta tańczy
w cielesnym uniesieniu rozdaje słowa jak brylanty.

Ma bladą skórę i oczy tak niebieskie, jak najzimniejszy jest lód,
aż chcesz ją przygarnąć, przytulić, ogrzać...
To ścierwo, już nie trupia wiedźma, a po prostu trup.

Ulica kołysze się, razem z nią świat
- pijany, wywleczony wnętrznościami na zewnątrz,
zapytał mnie nauczyciel mój, skąd w wierszu ten paw...

zawsze tu był, coś porządek, to czasem też nieład.
To co mnie pociąga w anarchii, to rozkład wartości,
ale tą kobietę – coś starłbym jej uda w tańcu, do bieli kości,

bo tylko demon ma w sobie taką dawkę przyjemności, by cię uzależnić,
i zgładzić. To ścierwo, już nie trupia wiedźma, a po prostu trup,
toczony chorobą, karmi nią spragnione miłości żywe ścierwa.

Gdzieś umiera papież, ulica kołysze się, razem z nią świat,
aż chcesz go przygarnąć, ogrzać... To czasem też nieład,
to co mnie pociąga w anarchii, to skąd w wierszu ten paw.

Czytasz nieład – oto ja, oto droga wiersza.

P

O

E

Z

J

A



Poza epicentrum światel

W Szopienicach diabeł kradnie żarówki

Wieczorem

Dzień pisze toksyczne historie
Wychowuje

Azbestowe dzieci
Ołowianych rodziców

W miejscu zapomnianym
Pomiędzy prostymi drogami

Właściwie bloków brak
Za to mnóstwo walących się nagrobków

I zabite dechami zeszyty z rachunkiem sumienia:
Chleb i wino

Czasem tylko krew...
To czarna fotografia powielana setki razy

Lęki wyrzucone na bruk – to tu:
Nie wystarczy odwrócić głowy

Od okna
Społeczna teoria nerwic

Bieda a i w tym można żyć inaczej
Proroctwo murów

Które stoją jak stały
Kolejne miejsca na mapie

Gdzie myśli
Nie stają dalekobieżne

A zimą wypalają się sumienia
Bo nie starcza na węgiel

•renice tak szerokie, że nie można zamknąć oczu
Niby bez gorączki, a jednak – niepokój

Wspomnienie echem tramwaju
Zakłète w ceglach

Tylko przejazdem - błysk...

Jak sztuczne ognie na święto

P

O

E

Z

J

A

Nr 0 / 2006
Str. 40 / 46



CO SIĘ SMAŻY POD PATELNIĄ ?



Nie ma rzeczy niemożliwych. W centrum Sosnowca, dokładnie pod pomnikiem Kiepury, ukryte za fast foodem powstało miejsce, w którym dzieją się niezwykle rzeczy – Pub&Galeria **Patelnia 36**. Mały powiew świeżości dla tej części społeczeństwa, która wymaga od miejsca swojego zamieszkania, bytowania, od swojej codzienności czegoś więcej niż tylko hot doga. Galeria wciąż się rozwija, można rzec – wciąż powstaje. Jej twórcy, Stowarzyszenie ISTOTA nie zamykają się, słuchają rad, nierzadko słów krytyki, ale przecież o to chodzi, by stworzyć miejsce wolne od sztywnych muzealnych schematów. Każdy może coś zasugerować, wnieść, pomóc w jej tworzeniu, a co najważniejsze wystawić swoje prace. Galeria otwarta jest na fotografię, grafikę, rysunek,



malarstwo i inne sztuki plastyczne. Ale Patelnia 36 to również koncerty, wieczorki poetyckie, spotkania z artystami. Sosnowiec tego potrzebował. To miejsce, które zaczyna przyciągać lokalny kulturalno-artystyczny świat. Może kiedyś stanie się Mekką artystów?

Na wernisaże G36 zaprasza w każdy ostatni czwartek miesiąca. Pod koniec października zapraszamy na wystawę malarstwa Leszka Szymczyka.

Redakcja

R
E
G
I
O
N
A
L
I
A

Nr 0 / 2006
Str. 41 / 46





METAN I KULTURALNI TERRORYŚCI

Natalia Dołżycka

R
E
G
I
O
N
A
L
I
A

Nr 0 / 2006
Str. 42 / 46



Mówią o sobie, że są kulturalnymi partyzantami. Ich wzorem do naśladowania jest pierwszy śląski superbohater Metan. Na miarę własnych możliwości chcą wyrwać ponury, skażony industrialnością Śląsk ze smutku i marazmu, jaki go otacza.

Zaczął się od ławki. Pustej. Art i Obywatel O.K.O – dwaj pomysłodawcy projektu Partyzantz mieli dość siedzenia beczynn timer. Pierwszy pomysł – gry miejskie. Trochę jak podchody, trochę jak gry RPG. Zadaniem graczy jest szukanie wskazówek i informatorów, ukrytych w całym mieście. Z kawałków informacji powstaje rozwiązanie zagadki.

– Codziennie każdy z nas przechodzi obok pięknych miejsc, których zwyczajnie nie zauważa. My, dzięki grom miejskim, pokazujemy to, co w miastach jest ciekawe. Jeśli na przykład znajdziemy jakieś super graffiti, robimy z niego wskazówkę, część gry. Taka jest idea gier miejskich – miasto to plansza, a ty sam jesteś bohaterem gry. W ten sposób zacieramy granicę między światem gier komputerowych a rzeczywistością – tak członkowie Partyzantz wyjaśniają powody, dla których postanowili zacząć organizować gry miejskie, dodając, że nagrodą nigdy nie jest żadna konkretna rzecz – zwykle jest to kod do wpisania na naszej stronie, który otwiera na przykład ukryte zdjęcie.

Smutny Śląsk potrzebował czegoś więcej. Gry miejskie przestały wystarczać nawet samym Partyzantom, którzy powiększali swoje szeregi w zawrotnym tempie. Przyszedł czas na Turniej Wielkiej Piłki – miasto przestało być tylko planszą, miasto stało się też... boiskiem.

– Wyznaczamy sobie miejsca, które będą naszą bramką – mogą to być dwa kosze na śmieci albo dwa drzewa i rozgrywamy mecze. Nie ważne, czy ktoś rozegra cały mecz, czy dołączy się tylko na chwilę. Ważne, żeby ludzie na chwilę zapomnieli o szarej codzienności, by zwykle kopnięcie dużej, kolorowej piłki sprawiło im radość – mówią członkowie Partyzantz.

Ich symbolem stał się Metan – pierwszy śląski superbohater, synteza tutejszej tradycji i wpływów popkultury. Prywatnie – Jan Kowalski – człowiek, który choć nie posiada żadnych nad-

przyrodzonych mocy (jest bowiem bohaterem z wyboru), walczy z szwarczarakterami – z nieustępliwym Superłotrem Azbestem S., a przede wszystkim z... nudą i szarością. To symbol nie tylko absurdałnego, kolorowego świata, który chcą stworzyć Partyzanci, to również symbol tego, co w całym Kolektywie się dzieje.

– *Bierzemy jakąś część kultury i zmieniamy ją, dopasowujemy do własnych wyobrażeń, wykorzystujemy do własnych celów. Chcemy odczarować Śląsk, zmienić wyobrażenie o nim jako o regionie smutnym, w którym nic się nie dzieje* – przekonuje Art.

„Kolektyw Partyzantz”, bo jego pomysłodawcy nie zamknęli wirtualnych drzwi nikomu, kto tak jak oni chce promować sztukę. Ale nie tą wysoką, z salonów i wernisaży. Partyzantz są patronami sztuki ulicznej, nieprofesjonalnej i zwariowanej jak oni.

„To nie my mamy wejść na salony, to salony mają zejść do nas” – deklarują buńczucznie, tworząc pierwszy „internetowy dom kultury” – miejsce, gdzie każdy może pokazać, na co go stać. Miejsce, gdzie szalone pomysły twórców spotykają się ze zrozumieniem, a nie – jak do tej pory – z obojętnością. Pod szyldem Kontra Bandy (czyli tej części projektu, która zajmuje się promowaniem miejskiej kultury) swoje miejsce znaleźć mogą artyści, zajmujący się muzyką, filmem, teatrem – lub po prostu kontrkulturą.

– *Każdy, kto ma jakiś pomysł, kto chce stworzyć, może się do nas przyłączyć* – zachęcają Partyzantz. – *Najważniejsze jest, żeby po prostu dobrze się bawić.*

Imprezowe mrówki (jednym ze znaczeń słowa „Partyzantz” jest spolszczona zbitka wyrazowa „Party’s ants”, czyli imprezowe mrówki) pojawiają się wszędzie, gdzie tylko szarość i nuda chce przejąć kontrolę. Dawką pozytywnej energii bombardują Śląsk.

– *Jesteśmy kulturalnymi partyzantami. Na parę minut wychodzimy ze swoich betonowych kryjówek, żeby pokolorować miasto i zniknąć. Uprawiamy terror-pop – a naszą bombą są gry miejskie, muzyka i wszystko, co robimy* – mówią.

Oby na świecie było więcej takich terrorystów.



– Witaj, kochanie. Już wróciłam. Zrobiłam zakupy.

– Cześć, kotku. A co dobrego kupiłaś?

– Była promocja. Wzięłam trzy klony. Dwa zamrozę, a z tego zrobię obiad na dziś i niedzielę. Co ty na to?

– Może być.

Mój mąż nigdy specjalnie się nie interesował kuchnią, a już na pewno nie moją. Jadł wszystko, co mu przyrządzałam, nie komentując zbytnio niczego. Czasem miałam mu to nawet za złe, że nie reagował, gdy „zupa była za słona”. Oglądał za to namiętnie programy kulinarne w telewizji, co mnie wkurzało, bo wołałabym, żeby sam zaczął gotować zamiast tylko podpatrywać i pewnie w myślach porównywać moje gotowanie z wyczynami jakiegoś pseudokucharzyka. Chcąc nie chcąc, oglądałam te marne produkcje razem z nim. I to z nich dowiedziałam się o coraz większej popularności potraw z klonów.

Odkąd udało się wreszcie dokonać sprawnego i w miarę taniego sklonowania ludzkiego embrionu i wynaleźć maszynę wzrostu, o której raelianie mogli tylko pomarzyć, stworzenie dorosłego osobnika, a raczej czyjejś dokładnej kopii stało się kwestią kilku tygodni. Każdy w zasadzie mógł sobie pozwolić na swojego sobowtóra chodzącego za niego do pracy. Technika tak się rozprzestrzeniła, że coraz więcej firm zaczęło ją z powodzeniem stosować. Bardzo szybko okazało się, że produkowanie klonów jest tańsze od produkcji tradycyjnej żywności. Zwykły kurczak stał się rarytasem. Za to identycznie wyglądające, pozbawione owłosienia klony można było kupić w każdym sklepie spożywczym. W barach szybkiej obsługi serwowano rączki i nóżki. W restauracjach zaś nadziewane brzuski. Prawdziwym przysmakiem okazały się główki. Ich przygotowanie było szczególnie trudne, wymagało długotrwałego pieczenia w odpowiednio dobranych przyprawach i specjalnym sosie. Zwykle gospodynie nawet się za to nie zabierały. Dlatego główki zwykle lądowały w koszach na śmieci, by potem stać się przysmakiem głodnych psów na wysypiskach, chyba że ktoś miał w domu własny utylizator odpadów biologicznych. My nie mieliśmy.

– Więc jak, kotku? – zaczęłam ponownie, chcąc

przykuć jego uwagę. – Co dziś zjesz? Rączki czy nóżki?

– Wszystko jedno.

– Jak to ci wszystko jedno? Nie rozumiem. Ja na przykład wolę nóżki. Mają więcej mięska. No i lubię ogryzać te maleńkie paluszki, jeśli są dobrze przypieczone.

– Dobra, to daj mi te nóżki.

– No wiesz! Przecież mówię, że ja wolę nóżki. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

– O co ci tak naprawdę chodzi, co?

O co mi chodzi?! Też pytanie! On jak zwykle nie wie. Woli siedzieć przed tym swoim komputerem po całych dniach i udawać, że pracuje. Nic go nie interesuje, a cały dom na mojej głowie. A chciałam tylko z nim porozmawiać. A tu nawet o jedzeniu nie można spokojnie, bez nerwów.

Wyciągam więc te moje małe nieszczęsne kloniki z torby. I co tu z nimi najpierw zrobić? Wszystkie trzy są oczywiście identyczne. Nie wiem, czy zamrażać je w całości, czy najpierw podzielić. Hmm, wyglądają jakby spały. Tak słodko i niewinnie jak nasz synek, gdy był taki malutki jak one. Co ja mówię. Nasz synek to dziecko. Prawdziwe. Nasze. A to tylko klony. Produkt eksperymentów genetycznych i posunięć marketingowych. Nie mają nawet narządów płciowych. Żadnych cech charakterystycznych. Są idealnie bez wyrazu. Niczym się od siebie nie różnią. Są przygotowane jedynie po to, by stanowić pełnowartościowy, zdrowy pokarm. Zresztą nawet się nie poruszają, mimo że nie są martwe. Podobno podają im taki środek zwiotczający mięśnie i znieczulający układ nerwowy. Niczego nie czują. Nie cierpią. Nie mają myśli...

Dobra, podzielę je na części i włożę do worczków. Przestaną mnie nachodzić nienormalne skojarzenia. Przecież to tylko jedzenie, mięso, skóra i kości.

Dobra, niech Roman je potnie. Ja chyba nie mogę.

Wychodzę z kuchni, zostawiam wszystko na stole. Romek jak zwykle przed komputerem.

– Romuś, mam prośbę – zaczynam pokornie.

– Jaka?

– Mógłbyś mi pomóc w kuchni? Z tymi klonami. Chciałam je pokawałkować, ale nie mam tyle

P

R

O

Z

A

Nr 0 / 2006
Str. 43 / 46

Wydawnictwo
NANS



sił. Kości mają jakoś takie twarde. Te nożyce są dla mnie zbyt tępe...

– Dobra, zaraz tam przyjdę. Muszę tylko coś zrobić. Wstaw wodę na kawę.

– Dzięki.

Teraz sobie poczekam. Za dziesięć minut będę musiała mu o tym przypomnieć. Będzie zdziwiony i przekonany, że nic takiego mu nie mówiłam. Czy wszyscy faceci po ślubie tacy właśnie się stają?

Wchodzę do kuchni już lekko zniechęcona. Znowu i tak będę musiała wszystko zrobić sama. Znowu tylko ja, ja, ja.

Patrzę na stół.

– Romek! Romek! Chodź tu szybko, proszę cię! Nie, to niemożliwe przecież.

– Co się stało? Już idę. Cemu tak krzyczysz?

– Klony się ruszają!

– To niemożliwe. Wydaje ci się.

– Proszę cię, chodź tutaj i zobacz sam. One, one chyba..., Boże, one chyba płaczą...

Roman wpada do kuchni. Jest zły. Myśli, że zmyślam. Ale widzi to, co ja i staje jak wryty.

– Widzisz? – pytam nie wiem czemu szeptem. – I co teraz?

– No, zapomnij, że ja je będę zabijał. Nie jestem zabójcą. Gdzie je kupiłaś? Trzeba będzie je oddać, albo komuś to zgłosić. Tak nie może przecież być... Muszą być źle przygotowane, nieświeże, albo chore...

– To co robimy?

– Nie wiem, trzeba może kogoś wezwać.

– Kogo?

– Producenta? Nie mam pojęcia, kobieto.

– One coraz bardziej płaczą. Chyba im zimno.

– Podchodzę bliżej stołu. Wyglądają jak zwykłe niemowlęta. Cemu dopiero teraz to widzę? Robi mi się ich żal. – Co robimy?

– Spróbuj je jakoś uspokoić. Przykryj je może czymś. Ja pójdę zadzwonić.

– Gdzie chcesz dzwonić?

– Nie wiem jeszcze. Ucisza je po prostu.

Trochę jestem przerażona. Biorę pierwszego z brzegu klona na ręce i przytulam jak dziecko. Po chwili się uspokaja. Otwiera oczy.

– Romek – szepczę. – On patrzy na mnie.

Odkładam go na stół i wyciągam ręce po drugiego. Ta sama sytuacja. Po chwili wszystkie trzy leżą sobie cichutko obok siebie i patrzą mi prosto w oczy. Mają takie niesamowite oczy. Takie dojrzałe. Jakby wszystko wiedziały. Czuję na plecach dreszcz, ale chyba już wiem.

– Romuś...

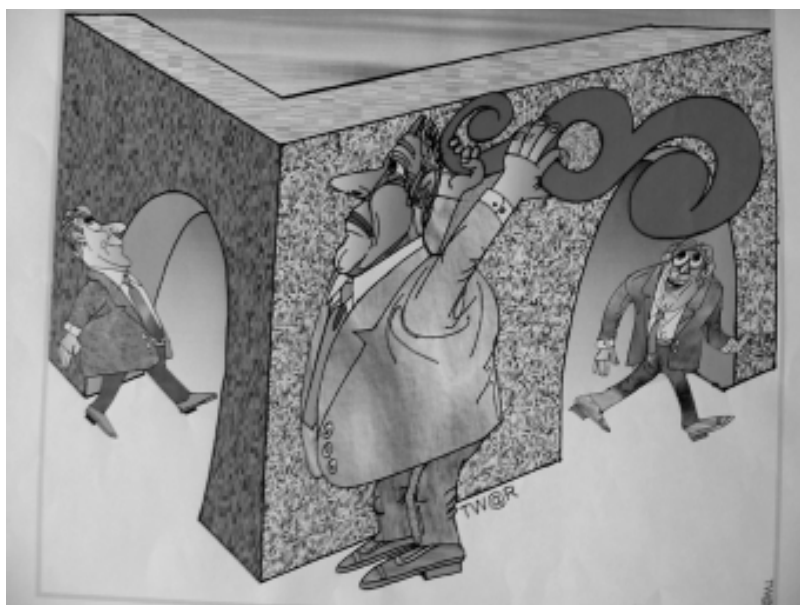
– Co?

– Nie dzwoń nigdzie. Popatrz tylko na nie.

– Co chcesz zrobić?

– A jak myślisz? – Wyciągam znowu ręce i zaczynam je głaskać. Roman trochę niechętnie, ale przyłącza się do mnie. Po chwili malce śmieją się do nas.

– Zostawiamy je. – Zapada jednoczesna decyzja.



OD WYDAWCY

Jesteśmy grupą studentów i absolwentów uczelni województwa śląskiego, którzy postanowili połączyć działalność charytatywną, kulturalną i edukacyjną z realizacją własnych pasji, oraz z umiejętnościami zawodowymi. Kierujemy się mottem uszlachetniając świat uszlachetniamy siebie. Pragniemy przybliżyć mieszkańcom miast poprzemysłowych różne dziedziny humanistyki. W centrum naszego działania jest człowiek, isto-

ta ludzka, stąd też nazwa Stowarzyszenia. „Istotą sprawy jest Istota ludzka” – czyli najważniejszy jest człowiek – jesteśmy ludźmi i do innych ludzi kierujemy nasze działania. Szczególnymi dla nas adresatami są trzy grupy: ludzie potrzebujący, ludzie pasjonaci różnych przejawów kultury, oraz ludzie kochający wiedzę i jej zdobywanie.

Stowarzyszenie Istota

www.istota.org, www.ystotny.prv.pl



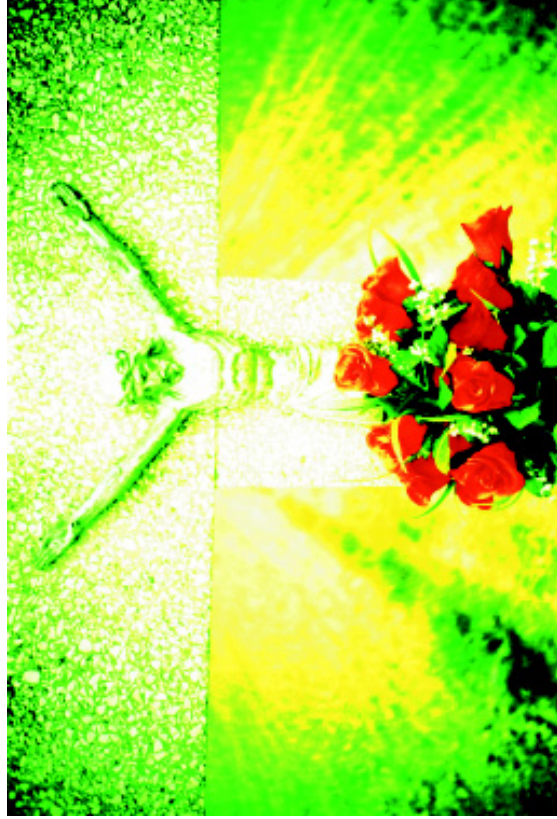
Nr 0 / 2006
Str. 45 / 46

Od redakcji

Wszystkim zainteresowanym proponujemy współpracę. Teksty, grafikę, fotografie itp. przysyłajcie na adres: artanons@gazeta.pl. Ciekawe, oryginalne, mądre będziemy się starali publikować. Co z tego wyniknie? Zobaczymy. Pozdrawiamy i czekamy na wasze opinie, uwagi i pomysły.



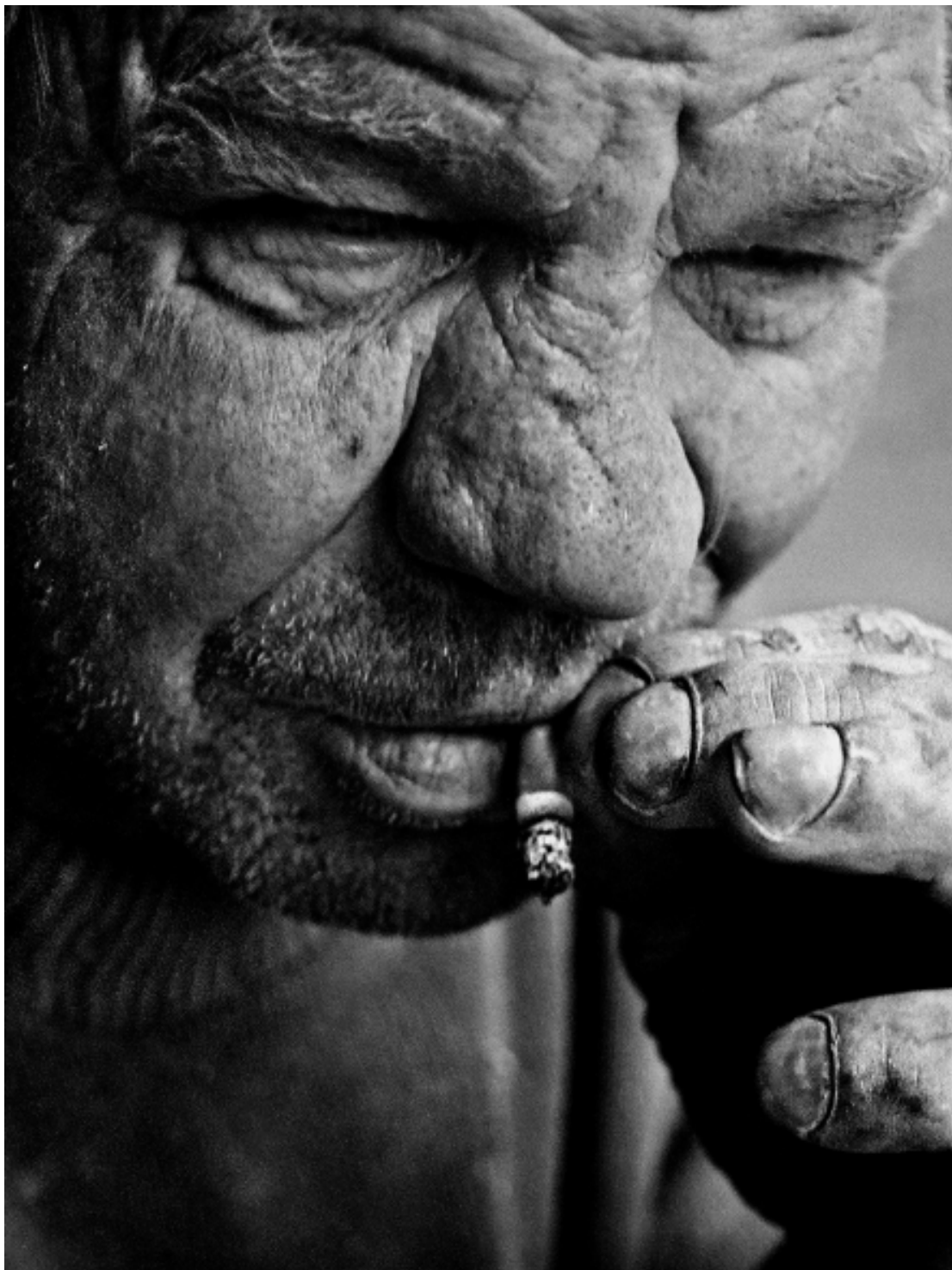
MANIFEST	1
PRZYKAWIE (dyskusja)	
UNIWERSYTECKA KAWA	3
LITERATKA (krytyka literacka/recenzje)	
Matylda Sęk: NIEROZMOWY Z BOGIEM	6
Dorota Nowacka: CYGAN-SKIE PEREGRYNACJE	29
POEZJA	
Wojciech Brzoska	7
Rafał Kordeusz	16
Krzysztof Duda	39
OBIEKTYW (fotografia)	
Anna Urgacz: KOLOROWE ŁOMOTANIE	9
WKŁADKI I OKŁADKI	11
ART KOKTAJL (w okolicach sztuki)	
Karolina Siemiacka: ŻYCIE JAKO GRA ESTETYCZNA. Estetyka kampu w programie telewizyjnym „Szymon Majewski Show”	30
PROZA	
Ilona Kula: OBRAZ	15
Bartek Rusek: LAWINA	15
Joanna Storczevska- Segieta: ZWYCZAJNA LUDZKA SCENA	33
Joanna Storczevska- Segieta.: WINNI CZYSTYCH PAPETERII	36
Katarzyna Krzan: POKARM BIOGENICZNY	43
OKIEM KRYTYKA (film)	
Matylda Sęk: TARANTINOWSKA GRA W CHOWANEGO	17
Jakub Ziobron: JASIO WRÓBELEK WRACA DO KIN	37
DESKI (teatr)	
Agnieszka Perzyńska, Ewa Kościańska: KLNĘ CIĘ	19
Agnieszka Perzyńska, Ewa Kościańska: AKTOREM BYWAM RACZEJ PRZYPADKIEM – rozmowa z Januszem Radkiem	32
REGIONALIA	
Tomasz Kostro: ZŁOTY INTERNAT	21
Małgorzata Stepien: PŁONĄCY ŚLĄSK czyli o procesach czarownic	23
Natalia Dołżycka: METAN I KULTURALNI TERRORYŚCI	42
CO SIĘ SMAŻY POD PATELNIĄ ?	41
SUBIEKTYW (felieton)	
Jakub Ziobron: W SUBIEKTYWIE KUBUSIA czyli kondycja kultury i sztuki w Zagłębiu i na Śląsku	27
Tomasz Iwanek: MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU czyli jak gry komputerowe przenikają do świata filmu	12
OD REDAKCJI	45







Fot.: Piotr Walski









Fot.: Paweł Czepiel



Fot.: Paweł Czepiel



ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Redaktor naczelna: Matylda Sęk

Redaktor literacki: Tomasz Kostro

Redaktor artystyczny: Małgorzata Stępień

Fotoedycja: Anna Urgacz

Grafika: Sebastian Leśniak

Współpraca: Jakub Zioboroń

Kontakt e-mail: artanons@gazeta.pl

Wydawca: Stowarzyszenie ISTOTA w Sosnowcu

www.istota.org, www.ystotny.prv.pl

Druk: WDR **PROGRES** ul Kresowa 1, 41-200 Sosnowiec

Pismo ukazało się dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miejskiego w Sosnowcu